

Zeszyt Osuchowski

Nr 11

OSUCHY 2014

WYDAWCA

Gminny Ośrodek Kultury w Łukowej
23 – 412 Łukowa
tel. 0 84 687 40 60
e-mail: gokluk1@wp.pl
www.lukowa.pl

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Wiesława Kubów, Maria Działo, Elżbieta Nizio, Tomasz Brytan

DRUK

Z.P. „Helvetica”
ul. Włosiankarska 13
23-400 Biłgoraj

ZDJĘCIA

Muzeum Regionalne w Dębicy, zbiory prywatne Henryka Nowickiego,
Antoniego Kurowskiego i Romana Kicińskiego.

Kawalerzyści 5. Pułku Strzelców Konnych walczyli pod Osuchami

Uczestnicy bitwy nad Sopotem: Mieczysław Rakoczy „Miecz” i Adam Haniewicz „Woyna” mieli zaszczyt służyć w tej samej formacji wojskowej tj. w 5. Pułku Strzelców Konnych. Oddział ten chlubnie zapisał się w historii polskiego oręża, sięgając tradycją czasów Księstwa Warszawskiego. Pułk Strzelców Konnych, wchodzący w skład Legii Poznańskiej, powstał z inicjatywy generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Jego formowanie rozpoczęło się 30 grudnia 1806 roku za sprawą Franciszka Garczyńskiego, a zakończyło 8 marca 1807 roku. Już w styczniu 1807 roku oddział ten uczestniczył w walkach na terenie Wielkopolski i Pomorza. Brał również udział w bitwie pod Frydlandem i pod dowództwem pułkownika Turno zdobył sobie uznanie. W 1809 roku stoczył on liczne potyczki pod Baranowem, Jarosławiem, Wrzawami. W wyprawie na Rosję w 1812 roku walczył pod Smoleńskiem, Możajskiem i Woroncowem. Podczas odwrotu armii Napoleona 5 psk. walczył pod Wiaźmą, Krasnem i pod Berezyną, osłaniając odwrót wojsk francuskich. Podczas wojny polsko - rosyjskiej 1831 roku pułk pod dowództwem płk. Benedykta Zielonki walczył pod Wawrem, Grochowem, Ostrołęką i Raciążem. Po odzyskaniu niepodległości, pułk odrodził się na nowo, by wziąć udział w wojnie polsko – bolszewickiej. Jego żołnierze uczestniczyli w ofensywie kijowskiej, walczyli nad Zbruczem i na Wołyniu, bitwie Warszawskiej, działali w rejonie Białegostoku, walczyli o przeprawy przez Niemen, nad Bugiem i Horyniem. Trzeci szwadron wchodzący w skład 7. Dywizji Piechoty brał udział w walkach na Ukrainie, bronił przeprawy przez Dniepr. Kampanię wrześniową pułk odbył w ramach Krakowskiej Brygady Kawalerii dowodzonej przez gen. Szylinga. Pułkiem dowodził

wówczas wzorowy oficer i dowódca płk Kazimierz Kosiarski. Pod koniec sierpnia pułk dociera do Zawiercia, podejmując działania obronne i opóźniające na Śląsku (rejon Woźnik, Ligoty Woźnickiej, Koziegłów, Nadwarcia, Żarek, Pradła, Szczekocin i Sędziszowa). Następnie rozpoczęło się wyczerpujące wycofywanie się na wschód z ubezpieczaniem przepraw jednostek armii Kraków przez rzekę Nidę w rejonie Pińczowa, Wiślicy, Buska, Nowego Korczyna i przez Wisłę w rejonie Baranowa i Tarnobrzega. Kolejnym terenem działań jest Lubelszczyzna. Pułk walczy tu w rejonie Biłgoraja i Tarnobrodz, a następnie Tomaszowa Lubelskiego, ubezpieczając atak połączonych oddziałów armii Kraków i armii Lublin, dowodzonej przez gen. Tadeusza Piskora, na Tomaszów Lubelski. W wyniku przegranej bitwy gen. Tadeusz Piskor 20 września 1939 roku podpisał kapitulację armii. Większość oficerów i żołnierzy, którzy przeżyli odwrót dostało się do niewoli.



Podchorąży Mieczysław Rakoczy.
1933 r.



Podchorąży Mieczysław Rakoczy.
1936 r.



5. Pułk Strzelców Konnych. Pluton ppor. Mieczysława Rakoczego. 1934 r.



5. Pułk Strzelców Konnych Dębica 1936. Pierwszy od lewej ppor. Adam Haniewicz, trzeci od prawej ppor. Mieczysław Rakoczy.



Ćwiczenia letnie 1936. W marszu z Wisły do Istebnej.
Por. Mieczysław Rakoczy siedzi z prawej.



Ćwiczenia letnie 1936. Powroźnik
(koło Krynicy). Ppor. Adam
Haniewicz pierwszy z prawej.



Ćwiczenia letnie 1936.
Śląsk Cieszyński.
Ppor. Adam Haniewicz w środku.



Szkoła podoficerska 5. PSK, 4. szwadron. 1936.
Drugi od lewej siedzi ppor. Adam Haniewicz.



Rocznica śmierci J. Piłsudskiego. 12 maja 1936. Defilada garnizonu tarnowskiego - 2. szwadron 5. PSK. Na czele por. Mieczysław Rakoczy.



Zawody 'Militari' Krakowskiej Brygady Kawalerii, Kraków - Zakrzówek, czerwiec 1939. W środku por. Mieczysław Rakoczy z żoną.



Po biegu myśliwskim, ppor. Adam Haniewicz drugi z prawej.

Wszystkie zdjęcia pochodzą ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Dębicy (opr. K. Kopera).

Smutna historia jednego zdjęcia

Ubiegłego lata odwiedził mnie niecodzienny gość, rodowity Niemiec, pan Eckhard Rieke, który o ile dobrze zrozumiałam jest historykiem. Interesowały go fakty związane z działalnością Armii Krajowej na Biłgorajszczyźnie, a zwłaszcza losy jednego żołnierza tej armii, Bolesława Wiśniewskiego „Stera”, który poległ pod Osuchami w czerwcu 1944 roku.

Dlaczego akurat ta postać wzbudziła jego tak żywe zainteresowanie? Dziwnie przędą się i przeplatają losy ludzkie. O wszystkim zadecydowało jedno zdjęcie wiszące na ścianie w domu rodzinnym znajomej pana Eckharda, obecnie mieszkającej na terenie Niemiec, która jest siostrzenicą młodego chłopca z tej fotografii. To go bardzo zaintrygowało i dało początek intensywnym poszukiwaniom informacji o losach tego młodego chłopca. Rozmowa z panem Eckhardem skłoniła mnie do refleksji nad tym, jak mało robimy, aby zachować pamięć o naszych cichych bohaterach. Zazwyczaj mówi się i pisze o kadrze oficerskiej, a zbyt mało uwagi poświęca prostym żołnierzom. Gdy pan Eckhard Rieke zapytał mnie, czy istnieje jakaś szkoła lub ulica nazwana imieniem „Stera”, a może gdzieś w Biłgoraju jest tablica poświęcona mieszkańcom miasta, poległym w czasie bitwy nad Sopotem. Ze wstydem musiałam odpowiedzieć, że nic takiego nie istnieje. Jakież to przykre, że dopiero potomek narodu, który był naszym wrogiem i okupantem w ostatniej wojnie, przypomina nam o naszych powinnościach względem naszych poległych rodaków, partyzantów. On widzi i czuje potrzebę czczenia ich pamięci, a my Polacy nie przykładamy do tego należytej wagi. Postarajmy się to zmienić. Może dobrym początkiem będzie przybliżenie naszym czytelnikom pamięci o prostym, szeregowym żołnierzu AK, jakim był Bolesław Wiśniewski „Ster”. Być może znajdzie się jeszcze ktoś, kto będzie mógł uzupełnić relacje zawarte w dwóch, kolejnych artykułach.

Droga Pani Mario

Zeszłego roku latem byłem w domu Pani z moją żoną. Jestem Niemcem z Berlina i byłem w Biłgoraju przez prawie miesiąc mieszkając w mieszkaniu przyjaciółki. Jej wujek, Bolesław Wiśniewski (ps. Ster) poległ jako partyzant pod Osuchami i ja interesowałem się nim.

Obiecałem Pani wysłać informacje o nim. Nareszcie mam teraz jego życiorys pisany przez Magdę Wankiewicz z Biłgoraja, która teraz żyje w Niemczech, ale od czasu do czasu jest w Biłgoraju. Ona, jak Pani zauważa, nie wie dużo o wujku. Może Pani ma możliwość znaleźć więcej faktów o życiu Bolka. Pamiętam, że Pani wspominała osobę z Lublina, która znała Bolka.

Z wyrazami szacunku Eckhard Rieke

Eckhard Rieke 2012

Bolesław (Bolek) Wiśniewski „Ster“ + zg. 24.06.1944 Osuchy

Bolesław był synem Karola i Stanisławy. Urodził się w Krzemieńczuku nad Dnieprem (ZSSR) Co wiemy o nim? Kiedy on zginął, miał 21 lat. Był uczniem gimnazjalnym, jego ranga jako żołnierza była szeregowiec, tzn. najniższa ranga w armii. Był żołnierzem Armii Krajowej (AK). W 1944r. Polska była okupowana przez Niemców. AK była armią podziemną. Żołnierze, tzw. partyzanci, żyli w lasach, albo jako osoby cywilne, które od czasu do czasu atakowały Niemców z zasadzki. W okolicach Biłgoraja partyzanci byli tak mocni, że Niemcy mieli kłopoty opuścić miasto, albo ich bazy. Każdy członek AK miał pseudonim. Bolesław nazywał się „Ster”. Prawny status żołnierzy - partyzantów zgodnie z prawem wojennym jest słaby, w najlepszym wypadku oni są „kombatantami”. Niemcy nazywali i traktowali ich jako „bandytów”, którzy nie mieli żadnych praw. AK dzieliła się na oddziały. Cała AK była kierowana przez rząd

emigracyjny w Londynie i nie tylko walczyła przeciw armii niemieckiej, ale czasami też przeciw Armii Czerwonej i jej partyzantom z Armii Ludowej (AL). Po wojnie komuniści i AL zniszczyli AK. Dopiero po upadku komunizmu było możliwe mówić i pisać o AK i śledzić jej historię. Oddział Bolesława nazywał się Corda. Oddział Corda powstał jesienią 1943r. jako szkoła podoficerska rejonu i obwodu AK Biłgoraj. Liczył 120 żołnierzy pochodzących z Biłgoraja i okolic. Oddział Corda stacjonował w okolicach wsi Brodziaki i Wolaniny, w odległości 4 km od Biłgoraja. Organizatorem i dowódcą był ppor. Józef Stegliński „Cord”. Po przeprowadzonej w czerwcu 1944r. mobilizacji rezerw z regionu Biłgoraja, oddział Corda liczył około 200 ludzi. Członkiem rezerw mógłby być Bolesław. W tym wypadku on nie żył cały czas w lesie, ale w Biłgoraju u rodziny. Jako rezerwista Bolesław był prawdopodobnie trenowanym żołnierzem i nie musiał walczyć z Niemcami jako niedoświadczony. Powodem mobilizacji była akcja Niemców w tym regionie w czerwcu 1944r. przeciw partyzantom w okolicy Biłgoraja. Partyzanci zagrodzili odwrót armii niemieckiej z Rosji. Dlatego Niemcy skoncentrowali około 30 000 żołnierzy, okrążyli partyzantów (AK, AL, Bataliony Chłopskie, partyzantów radzieckich). Akcja nazywana Sturmwind I/II, po polsku Wicher I/II. Akcja była największą walką partyzancką w wojnie i była sukcesem Niemców. Na końcu (25.06.1944) oddziały partyzantów, które nie uciekły, zostały zniszczone pod Osuchami, w małej wsi. Z oddziału Corda poległo 74 żołnierzy. Około 4 tygodnie później, Biłgoraj został wyzwolony przez partyzantów (przed Armią Czerwoną) i dopiero wtedy było możliwe pochować trupy poległych partyzantów. Lasy były pełne trupów i po takim długim czasie, nie było łatwo poznać osoby. Część ich leży na cmentarzu pod Osuchami, największym cmentarzu partyzanckim w Europie. Innych pogrzebano na ich cmentarzach, skąd pochodzili. Bolesław leży na cmentarzu w Biłgoraju obok komendanta Corda, Józefa Steglińskiego. Data jego śmierci pisana na krzyżu to 24.06.1944. Bardziej prawdopodobna jest może 25.06.1944; dzień ostatniej walki. Ale kto to wie? Zdjęcie Bolesława wisi w mieszkaniu Magdy Wankiewicz w Biłgoraju, gdzie jego siostra,

matka Magdy, żyła do końca życia. Znawczyni historii partyzantów, Maria Działo, znalazła osobę, która знаła Bolesława. Według tej osoby Bolesław lubił koszykówkę i jego przyjacielem u Corda była osoba z pseudonimem Pelikan, która przeżyła Wicher, ale dzisiaj już nie żyje.

Anna Magdalena Wankiewicz-Heise

Frankfurt nad Menem / Wilczyn Leśny, 25.05.2013

Drogi Eckhardzie.

Przesyłam ci kompletny tekst o Bolku Wiśniewskim, skorygowany i uzupełniony przez moją lubelską i warszawską rodzinę. Dzięki, że zmusiłeś mnie do napisania tego tekstu. Przepraszam, że zabrało mi to aż pół roku. Nie mogłam się zebrać. To smutna historia i praca nad nią przypominała otwieranie puszek Pandory ze wspomnieniami, do których już nie chciałam wracać. Ale wróciłam i cieszę się z tego. Pierwsze strony już znasz, bo wysłałam ci je w listopadzie. Reszta jest nowa.

Bolesław Wiśniewski, partyzant, brat mojej mamy

1. Krzemieńczuk

Nie jest mi łatwo opowiadać o Bolku, bracie mojej mamy, który poległ w bitwie pod Osuchami mając zaledwie 21 lat. Wiem o nim mało, chociaż mama opowiadała o swoim życiu chętnie i często. Jej opowieści o Bolku dotyczyły historii jego śmierci i były ogromnie smutne. Mama nie mogła się z jego śmiercią pogodzić i robiła wszystko, by był dla niej jakoś wirtualnie obecny. A przez to obecny był też dla mnie. Na najwyższej półce przepastnej dębowej szafy w biłgorajskim mieszkaniu, mama chowała papierową pościółkę kopertę z puklem jego blond włosów i list Bolka do siostry - Feli z prośbą o sweter. W tym swetrze- golfie Bolek zrobił sobie zdjęcie i to właśnie to zdjęcie wisi u nas w domu. Potem pozostały już tylko jego zdjęcia, bo włosy i list mama spaliła, gdy już nie mieszkałam w Biłgoraju. Bolek urodził się chyba w roku 1923 w Krzemieńczuku

nad Dnieprem. Miał dwie starsze siostry – najstarszą Feliksę, zwaną Felą i 4 lata starszą Janinę, na którą mówiono – Jasia. Janina Wiśniewska to moja mama. Skąd się wzięli w Kriemienczuku, skoro cała rodzina pochodziła z okolic Biłgoraja?

Ojciec Bolka, Karol Wiśniewski, był sitarzem. W czasach, gdy nie było Polski na mapie, wędrował z sitami na południowy wschód carskiego imperium, aż postanowił osiedlić się nad Dnieprem, gdzie najlepiej szły mu interesy. W Kriemienczuku nie był sam, było tam już parę rodzin z Biłgoraja.

W roku 1911 Karol Wiśniewski kupił dom i pojechał do Biłgoraja szukać żony, która chciała mu tam towarzyszyć. Ożenił się ze Stanisławą Złamańską z Biłgoraja i oboje wyjechali na Ukrainę. W Kriemienczuku urodziły się im dzieci – Helena, która jako dziecko umarła, potem Fela, w roku 1919 Jasia (moja mama) i 4 lata później Bolek.

2. Repatriacja

W roku 1918 Polska była już niepodległa, ale rodzina nie podjęła decyzji o wyjeździe do Polski, żal było zostawić piękny dom i tyle lat życia w tym mieście. Czasy jednak stawały się coraz bardziej niebezpieczne, bolszewicy grozili rodzinie, bo Polska Piłsudskiego była ich wrogiem i w końcu, w roku może 1924 - sprzedali dom i pojechali w ramach repatriacji do Polski: najpierw parowym statkiem do Kijowa, tam przesiedli się na pociąg i ruszyli w stronę granicy. Polska straż graniczna bardzo dokładnie sprawdzała repatriantów i trzeba było odbyć tak zwaną kwarantannę, która trwała w ich przypadku dwa tygodnie. Rodzina mieszkała więc na granicy polsko-sowieckiej w obozie przejściowym.

3. Włodzimierz Wołyński

W Polsce rodzina osiadła nie w Biłgoraju, ale 60 km bliżej, na Wołyniu, we Włodzimierzu Wołyńskim. Dzieci mówiły i po polsku, i trochę po ukraińsku, mieszały im się słowa, co budziło konsternację biłgorajskiej rodziny i nie było odbierane pozytywnie. Wspomnienia

mojej mamy z Włodzimierza Wołyńskiego to przede wszystkim bieda. Zaczął się światowy kryzys gospodarczy i hiperinflacja, która spowodowała, że pieniądze przywiezione z Kremieczuka straciły wartość.

4. Śmierć ojca

W 1926, a może 1927 ojciec Bolka zachorował na raka żołądka – skutek marnego odżywiania się w okopach I wojny światowej. Były wakacje może 28 lub 29 roku, gdy Karol Wiśniewski zmarł. Moja mama i Bolek byli w tym czasie na wakacjach w Biłgoraju. Karola Wiśniewskiego pochowano na cmentarzu katolickim we Włodzimierzu. (Byłam tam latem 2011, grobu już tam nie ma, ale znalazłam alejkę z pochówkami z tego roku.) Kiedy kilkuletni Bolek wrócił do domu pod koniec lata, pobiegł do pokoju ojca. Dopiero wtedy, gdy zobaczył, że nie ma ubrań jego taty, zrozumiał, co się stało. Bardzo przeżył jego śmierć.

5. Biłgoraj, rodzina

Mama Bolka – Stanisława Wiśniewska – została wdową i nie była w stanie utrzymać sama trojga dzieci, więc wróciła do rodziny do Biłgoraja, gdzie znalazła dużo wsparcia, bo rodzina była dość zamożna i trzymała się razem. Dziadek Bolka – Antoni Złamański – mieszkał już od wielu lat w USA i pomagał rodzinie finansowo. Babcia Bolka – Agnieszka – mieszkała w Biłgoraju sama z dziećmi, które musiały szybko stać się zaradne i samodzielne. Mama Bolka nie miała w Biłgoraju własnego lokum, mieszkała z Felą i Bolkiem u swoich rodziców i u sióstr, które w przeciwieństwie do niej, nie miały problemów materialnych. Moja mama nie mieszkała ze swoim rodzeństwem, lecz u swojej ulubionej cici – Józefy Radejowej. Nie wiem niestety, gdzie Bolek chodził do szkoły i czy były pieniądze na jego edukację. Jak im się żyło przez te 10 biłgorajskich lat? Nie wiem. Być może były to dla Bolka, tak jak dla mojej mamy, beztrudne lata. Jest jednak jeszcze jeden ślad – Warszawa. W rodzinnym archiwum znalazłam zdjęcie Bolka z dziewczyną na warszawskiej ulicy, a wnuk

Feli – Artur – przysłał mi następującą notkę:

„Według mojej mamy Bolek bywał - pracował w Warszawie w czasie okupacji, ciocia Jasia pokazywała w rodzinie jego bilet tramwajowy. Gdzie pracował nie wiem, ale to ciekawy wątek. Jest możliwe, że były to wyjazdy incydentalne, ale w tych czasach podróże krajoznawcze nie wchodziły w grę”.

Natomiast moja mama twierdziła, że uczył się w Warszawie. Może uczył się zawodu?

6. Śmierć matki

W czerwcu 1939 roku stało się nieszczęście. Mama Bolka zachorowała na zapalenie wyrostka robaczkowego, przeszła operację i zmarła z powodu zakażenia. Miała 45 lat. Stanisławę Wiśniewską pochowano na cmentarzu w Biłgoraju, a więc 60 km od grobu jej męża Karola. A w tej chwili te dwa groby dzieli granica państwa. Śmierć matki była strasznym ciosem dla rodziny. Dzieci w przededniu wojny zostały bez rodziców. Fela po skończeniu seminarium została nauczycielką w Hoszni Ordynackiej, założyła rodzinę i stała się samodzielną. Była podporą dla rodzeństwa. Bolek często u niej bywał. W dniu wybuchu wojny miał 16, a może 17 lat i musiał sam decydować o swoim życiu.

Najwyższy czas napisać coś o kuzynach, z którymi wychowywała się moja mama, i którzy w tych trudnych dniach stali się wsparciem dla reszty rodzeństwa. Pełnią oni ważną rolę we wszystkich późniejszych wydarzeniach:

Opiekę nad dziećmi zmarłej siostry przejęła Józefa Radejowa, ciocia mojej mamy i Bolka. Miała trójkę własnych dzieci – Jankę, Irenę i Ryśka. Irena, najstarsza córka, w dniu wybuchu wojny była mężatką i miała małego synka – Krzysia. Druga córka – Janka, rówieśnica mojej mamy (i moja chrzestna matka) skończyła szkołę w Zamościu i nigdzie jeszcze nie pracowała. Czasem pomagała razem z moją mamą w restauracji i w sklepie. Rysiek – ulubiony kuzyn mojej mamy, prawie od początku był w ruchu oporu, zapewne był wzorem

dla Bolka. Rodzina Radejów miała restaurację i sklep mięsny w Rynku oraz drewniany dom na ulicy Ogrodowej 32.

7. Wojna

Zygmunt Klukowski, lekarz, dyrektor szpitala w Szczepieszynie koło Biłgoraja zostawił po sobie wiele tomów pamiętników, w których dzień po dniu opisywał okupację niemiecką na Zamojszczyźnie. O tej książce dowiedziałam się po raz pierwszy od mojej mamy. Po wielu latach ja też przeczytałam te pamiętniki. Dzięki nim i opowiadaniom mamy mogłam odtworzyć atmosferę dni okupacji i zobaczyć śmierć Bolka w szerszym kontekście:

Pod datą 1 września 1939 Zygmunt Klukowski pisze:

„Drugi dzień mobilizacji. Od rana wszędzie nadzwyczajny ruch (...). W południe pojechałem do Zamościa po mundur. Wszyscy mówią tu tylko o wojnie, ale nastrój dobry, każdy wierzy w ostateczne nasze zwycięstwo...”

To samo opowiadała moja mama. Wspominała, że wszyscy wierzyli w siłę polskiego wojska, w pomoc Francji i Anglii. W mieście panowało wielkie podniecenie, trwała mobilizacja. Ale kolejne dni września przynosiły coraz gorsze wiadomości. Polskie wojsko ponosiło klęskę za klęską. Biłgoraj był coraz bardziej zatłoczony uciekinierami i wojskiem. W tym czasie moja mama mieszkała nadal u swojej cioci Józefy Radejowej, a Bolek? Nie wiem. Być może był tam też, a może u swojej siostry, Feli, w Hoszni Ordynackiej. Dnia 8 września nad miastem pojawiły się pierwsze niemieckie samoloty.

Biłgoraj został zbombardowany, ale dom cioci Radejowej na ulicy Ogrodowej przetrwał bombardowanie. Trzy dni później niemieccy dywersanci podpalili Biłgoraj. Spaliło się wiele budynków w centrum, w tym także sklep i restauracja rodziny Radejów przy Rynku. Dom na ulicy Ogrodowej 32 i ten kataklizm przetrwał. Parę dni po 17 września do Biłgoraja wkroczyli na parę dni sowiet, w październiku znowu wrócili Niemcy. Te zmiany związane były z nieprecyzyjnym wytyczeniem granicy w pakcie Ribbentrop – Mołotow i były ważne dla miasta. Wraz z opuszczającą Biłgoraj Armią Czerwoną, opuściła

miasto spora grupa Żydów, między innymi szkolna koleżanka mojej mamy – Chajka Rosenbaum z ojcem. Matka Chajki została w Biłgoraju z synem. Zginęli w Bełżcu. Wkrótce po zainstalowaniu się w Biłgoraju niemieckie władze okupacyjne przystąpiły do realizacji swej polityki eksterminacyjnej. Do Biłgoraja przyjechało gestapo. Gestapo zajęło budynek w centrum miasta, niedaleko od domu cioci Radejowej. Tak więc, z okien domu na Ogrodowej mama i Bolek widzieli dokładnie, co dzieje się na podwórku gestapo. To był przygnębiający widok, bo po jakimś czasie przed budynkiem gestapo stworzono przejściowy obóz koncentracyjny. Więźni tu ludzie byli przetrzymywani pod gołym niebem i na gołej ziemi.

Ponieważ spalił się sklep i restauracja przy Rynku, trzeba było otworzyć sklep w domu na ul. Ogrodowej. Ciocia i wujek Radejowie przeznaczili na ten cel dwa pokoje od ulicy. Dlatego cała rodzina musiała mieszkać w jednym pokoju z kuchnią. Bolek i jego kuzyn Rysiek zamieszkali gdzie indziej. Wynajęto im pokoje u pani Staroniewskiej, dwa domy dalej.

8. Terror

Pierwsza z akcji aresztowań dotknęła inteligencję: aresztowano biłgorajskich nauczycieli, księży, lekarzy i adwokatów. Między innymi właśnie zięcia cioci Radejowej – Edwarda Janiuka, męża Ireny i ojca rocznego zaledwie Krzysia. Wujka Edka (tak go nazywałam) wywieziono do Rotundy Zamojskiej, a potem do Oranienburga i do Dachau. Do domu wrócił dopiero w 1945 roku. Małym Krzysiem i jego mamą – Ireną - zajęła się cała rodzina. Krzysztof jako małe dziecko często kręcił się koło Bolka i zapamiętał go jako miłego, wesołego chłopaka, ciągle zajętego naprawianiem swojego roweru.

Życie stawało się coraz trudniejsze. Zachowanie wojsk i władz okupacyjnych, wydawane przez nich rozporządzenia regulujące życie okupacyjne, szykany, łapanki i aresztowania spowodowały, że ludność organizowała się i była gotowa do pracy w konspiracji. Wszyscy, którzy obawiali się aresztowań, wywozu do pracy przymusowej do Niemiec, uciekali do lasu. Las stał się miejscem, gdzie zaczął się

stopniowo i coraz sprawniej organizować ruch oporu. Niektórzy musieli w lesie mieszkać, inni – jak Bolek – byli w rezerwie i do lasu przychodzili jedynie na szkolenia. Puszcza Solska zaczęła tętnić życiem. Także moja mama otrzymała propozycję pracy dla AK. Bała się i odmówiła zaangażowania w trudne zadania. Dostała więc zadanie „łączenia” zakonspirowanych AK-owców w restauracji swojej cioci. Kiedy do restauracji przychodził „Spalony”, miejscowy dowódca AK, podawał jej hasło „słoma” i mama wskazywała mu stolik, przy którym czekał na niego inny dowódca. Do restauracji przychodzili także Niemcy, często gestapowcy. Mieli dla siebie osobną salę, ale kiedy za dużo wypili, wtaczali się do sali ogólnej i robili spore zamieszanie. Pewnego razu pijani niemieccy żołnierze po prostu usiedli na kolana pijącym piwo chłopom i obejmując ich serdecznie kontynuowali imprezę. Ktoś musiał donieść gestapo, bo natychmiast do restauracji wkroczył groźny gestapowiec Colb i przepędził wszystkich. Po takich incydentach Niemcy zamykali restaurację na parę miesięcy i zezwalali na otwarcie po otrzymaniu dużych łapówek. Restauracja cioci i wujka Radejów, w której przez całą okupację pracowała moja mama, pomogła przetrwać rodzinie trudne czasy. Była ona także punktem kontaktowym partyzantów, a na strychu znajdowała się mała drukarnia, którą opiekował się kuzyn Rysiek. Z tyłu, na zaplecze restauracji, zakradali się czasem znajomi Żydzi po jedzenie, bo ufali, że właściciel coś dla nich znajdzie. Mama widziała tam czasem matkę Chajki, ale bała się tych wizyt i strach, z jakim kiedyś raz jeden dała matce Chajki do kieszeni 2 zawinięte kotlety, pamiętała całe życie. Pewnej nocy rodzinę obudziło kołatanie do drzwi. To pijani gestapowcy przyszli z zamiarem aresztowania całej rodziny. Bolek mieszkał wtedy u pani Staroniewskiej, a Rysiek niestety był w domu. Wdrapał się szybko na strych, gdzie były gromadzone i drukowane ulotki i tam się ukrył.

Mama, Janka i ciocia Radejowa nie mogły się ukryć, bo patrol niemiecki przeszukałby wtedy cały dom. Otworzyły więc drzwi Niemcom i zostały zabrane na gestapo. Wszystkie tak jak stały - w piżamach, z papilotami na głowie. Noc spędziły w osobnych

celach, a Janka – moja chrzestna - dostała łopatę i zadanie kopania grobu. Minęło parę godzin, aż gestapowcy wytrzeźwili i wypuścili wszystkich do domu. Po zakończeniu operacji „Reinhard” i likwidacji w Bełżcu wszystkich biłgorajskich Żydów wzmógł się terror wobec pozostałej ludności. Nasiliły się pacyfikacje i wysiedlenia. Mieszkańcy Biłgoraja – naoczni świadkowie przerażających scen eksterminacji Żydów – nie mieli wątpliwości, kto będzie następny. Terror wzrastał się, a wraz z nim wzrastała się aktywność partyzantów. Jesienią 1943 r. pod dowództwem por. Józefa Steglińskiego ps. Cord utworzony został oddział partyzancki grupujący żołnierzy AK z rejonu biłgorajskiego. W szeregach tego oddziału znalazło się wielu młodych mężczyzn z Biłgoraja, w tym Bolek, Rysiek i mąż kuzynki, ppor. Józef Witek. Bolek otrzymał pseudonim „Ster”, a Rysiek miał pseudonim „Waligóra”. Oddział stacjonował w Puszczy Solskiej, w pobliżu wsi Brodziaki, w odległości około 4 km od miasta. I to tam Bolek, który mieszkał w mieście, coraz częściej jeździł na swoim rowerze. Nie wiem, w jakich akcjach brał udział. Moja mama i jej cioteczna siostra Janka chodziły czasem do lasu i zanosiliły kuzynom - partyzantom jedzenie. A ponieważ broń i amunicję partyzanci dostawali drogą powietrzną, mama i moja chrzestna matka przynosiły do domu w torbach angielskie spadochrony, z których szyto potem bluzki i koszule.

9. Las

Wiosną 1944 roku zbliżał się front. Zgodnie z założeniami akcji „Burza” dowództwo AK ogłosiło mobilizację, więc partyzanci koncentrowali się w lasach. Bolek przestał być w rezerwie, musiał udać się na stałe do oddziału Corda. Jak wyglądało pożegnanie Bolka z moją mamą i kiedy widzieli się ostatni raz, tego nigdy się już nie dowiem. Mama opowiadała jedynie, że przed wyjazdem do lasu poszedł do dentysty. Bolał go ząb i kazał go sobie usunąć. Dentystka protestowała, proponowała leczenie, bo ubytek był niewielki. Bolek nie widział sensu leczenia, nie było czasu, szedł na wojnę, więc zęba wyrwał. W lesie był miesiąc, aż do owych pięknych i ciepłych czerwcowych dni, kiedy rozegrała się największa bitwa partyzancka -

bitwa pod Osuchami i kiedy zakończyła się historia Bolka. Szczegóły całej niemieckiej akcji Sturmwind I i II, mającej na celu ostateczną rozprawę z partyzantami, są dobrze opisane także w Internecie. Dużo pisze się o przyczynach klęski: miażdżącej przewadze militarnej Niemców, braku skoordynowanego działania wszystkich sił partyzanckich w Puszczy Solskiej, słabości dowódcy AK i złej strategii walki. Jak zachował się Bolek, gdy wykończeni nierówną walką i zamknięci w zacieśniającym się pierścieniu okrążenia partyzanci AK dostali bulwersujący ich rozkaz mjr. Edwarda Markiewicza „Kaliny”, by ukryć się w bagnach i przeczekać resztę niemieckiej akcji? Czy, jak wielu innych, próbował już wtedy na własną rękę szukać kryjówki?

24 czerwca zaginał major „Kalina” i nad resztkami oddziałów partyzanckich dowództwo objął Konrad Bartoszewski - „Wir”, który podjął decyzję o przebijaniu się w okolicach Osuch, przy ujściu Sopotu do Tanwi. Partyzanci z oddziału „Wira” ukrywając się w zbożu zlikwidowali stanowiska niemieckie, przerwali okrążenie i uratowali się. Znacznie trudniejszą sytuację miał oddział Bolka. Partyzanci „Corda” podczas przebijania się z okrążenia pod wsią Osuchy trafili na najsilniejsze umocnienia niemieckie i oddział poniósł wielkie straty. By wyjść z okrążenia trzeba było pokonać pod ostrzałem 400-metrowy pas odkrytego pola. Część oddziału przedarła się, ale straty w ludziach były ogromne. Wielu partyzantów nie wytrzymało presji i zawróciło do lasu, do środka „kotła”, licząc, że uda im się przetrwać w ukryciu. A sam „Cord”, po wyjściu z okrążenia, wrócił na teren walki po swoich rannych żołnierzach i zginął. Co działo się wtedy z Bolkiem? Z opowiadań rodzinnych wiem, że w walkach w Puszczy Solskiej ranny został jego kuzyn Rysiek. Jakiś bohaterski chłop wziął go na furmankę i przedzierał się z nim poza okrążenie. Bolek chciał iść razem z nimi, ale chłop się nie zgodził wyjaśniając, że Bolek sam jeden ma większe szanse na ukrycie się, niż we trójkę z furmanką i rannym Ryszardem. To wydawało się logiczne, ale to właśnie ranny kuzyn przeżył, a Bolek nie. Kiedy odbyła się ta rozmowa? Jeszcze przed śmiercią mjr. Kaliny, czy już w trakcie walk nad Sopotem? W którym momencie zginął Bolek? Czy w czasie akcji, czy został

odkryty i zastrzelony już po bitwie? Nie znam odpowiedzi na te pytania.

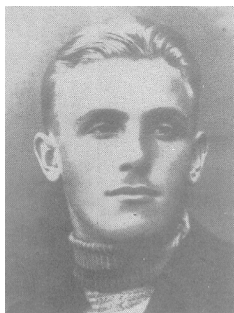
10. Koniec

Po bitwie las zasłany był trupami partyzantów, Niemcy szukali ukrytych ludzi, wyłapywali pozostawionych w lesie rannych. Ranni partyzanci zostali zabrani przez Niemców do obozu w Biłgoraju i 4 lipca rozstrzelano ich w lasku na Rapach. Wśród rozstrzelanych był mąż ciotecznej siostry Bolka – Józef Witek. Miał 32 lata. Po 26 czerwca do domów po kryjomu zaczęli wracać partyzanci, którym udało się wyjść z okrażenia. Codziennie przychodziły wieści, podawano nazwiska osób, które przeżyły bitwę i były na wolności. Mama czekała na wieści o Bolku z nadzieją, że wróci. Ale czas upływał i nadziei już nie było. W końcu ktoś poinformował ją o śmierci brata. Nie wiem, kto to był.

Mama opowiadała, że kryjówkę wytopił niemiecki pies i Bolek dostał całą serię z karabinu maszynowego. Stało się to prawdopodobnie 24 czerwca 1944 roku, w dzień imienin mojej mamy. I taka data śmierci widnieje na tablicy nagrobnej. Dopiero po miesiącu, 24 lipca, gdy Niemcy wycofali się z Biłgoraja, rodziny poległych ruszyły na poszukiwania zwłok. Moja mama nie odważyła się pójść do lasu. Bolka szukał mąż Feli, nauczyciel religii. Pojechał do lasu furmanką z chłopem, który znał to miejsce, ale mimo to, trudno im było znaleźć ciało. Ciocia Fela opowiadała mi bajkową historię o tym, jak w znalezieniu Bolka pomógł mojemu wujkowi motyl, który wciąż siadał na jego ręce, a odganiany - wracał. Wujek, człowiek religijny, odebrał to jako znak i polecił jechać za motylem. I tak trafił na ciało Bolka. Bolek leżał w kwitnących już wrzosach, w jasnym swetrze, w którym poszedł do lasu, miał przy sobie zdjęcia całej rodziny i dzbanuszek z cukrem. Ciało było w stanie rozkładu, wujek musiał zebrać szczątki swojego szwagra i włożyć do drewnianej trumny przywiezionej furmanką. Nie mogę sobie tego nawet wyobrazić, ale może śmierć wszechobecna w tamtych czasach sprawiła, że takie czyny były na porządku dnia? Bolka nie pochowano na partyzanckim cmentarzu pod Osuchami, rodzina zdecydowała o pochówku w Biłgoraju. Jego pogrzeb był jednym ze zbiorowych pogrzebów z tłumem ludzi i przeraźliwym odorem rozkładających się ciał

snującym się za kolumną żałobników. Trumnę Bolka niósł partyzant-egzekutor z Goraja. Partyzancki grób Bolka znajduje się w kwaterze wojskowej na cmentarzu w Biłgoraju, obok grobów Józefa Witka i Tadeusza Ludwika, rozstrzelanych na Rapach*.

Moja mama do końca życia nie pogodziła się ze śmiercią brata. Winiła za to sytuację rodzinną, bo Bolek był sierotą i nie było ojca lub matki, którzy powstrzymaliby dwudziestoletniego chłopaka przed partyzancką przygodą, tak, jak zrobiła to ciotka Leokadia ze swoim synem Jurkiem. Ale czy ktokolwiek powstrzymałby Bolka, skoro nikt nie powstrzymał Ryśka i innych? Przecież – jak wspomina Krzysztof – *oni wszyscy rwali się do walki*. Co było dalej? To zabrzmiał jak kiczowaty patos, kiedy powiem, że ta tragiczna historia odcisnęła piętno na naszym życiu rodzinnym. Ale tak było i Bolek był w naszym życiu obecny. Jego obecność to portret obowiązkowo wieszany na ścianie głównego pokoju, na regale zniszczona od ciągłego czytania książka „Paprocie zakwitły krwią partyzantów”, wizyty na cmentarzu, słuchana z mamą wieczorami piosenka Marleny Dietrich „Gdzie są chłopcy z tamtych lat” śpiewana po polsku przez Sławę Przybylską, wieczorne emocjonalne opowiadania o czasach okupacji, niechęć mamy do psów i do wrzosów, które były dla niej kwiatem smutnym i niepożądanym w domowych bukietach. To wszystko wypełniało moje dzieciństwo, moją młodość i towarzyszy mi do dziś.



Właśnie to zdjęcie wisi na ścianie domu
rodzinnego pani Anny Magdaleny
Wankiewicz-Heise

* Od red.: Józef Witek został rozstrzelany na strzelnicy przy stadionie w Biłgoraju, natomiast Tadeusz Ludwik przy ul. Lubelskiej, w miejscu gdzie obecnie znajduje się budynek Cechu Rzemiosł Różnych.

Mijają lata – pozostają wspomnienia

Wojna

Wstał piękny poranek pierwszego września 1939 roku. Pogoda była jak w środku lata i taka utrzymała się do końca miesiąca. Sąsiad nasz - pan Słomski wpadł podenerwowany do naszego domu z wiadomością, że w dniu dzisiejszym, o świcie, Niemcy bez wypowiedzenia wojny, w wielu miejscach przekroczyli granicę naszego państwa, a niemiecki pancernik wizytujący Gdańsk ostrzeliwuje Westerplatte. Wiadomość tę podało polskie radio, odbiornik posiadał pan Słomski - my go nie mieliśmy. Nadzwyczajna sytuacja nie zniósła obowiązku stawienia się o godzinie 8.00 w szkole na rozpoczynający się rok szkolny. Byłem wówczas uczniem drugiej klasy gimnazjum. Nasz wychowawca w bardzo opanowany i spokojny sposób, tak jak oficjalna opinia, oznajmił, że Niemcy w dniu dzisiejszym popełnili kardynalny błąd. Mamy bowiem zawarte umowy międzynarodowe z takimi mocarstwami jak Anglia i Francja, które gwarantują nam pomoc w razie agresji. Nawet gdyby w pierwszej fazie wojny Niemcy odnieśli jakieś sukcesy, to i tak na nas połamią sobie zęby, a klęska ich czeka niezawodnie. Jednakże pomimo tego zapewnienia rok szkolny się nie rozpoczął. O wznowieniu nauki mamy dowiedzieć się we właściwym czasie. A zatem euforia - hurra!!!- Wakacje mamy nadal. Po powrocie do domu rodzice orzekli, że nie jest to dobra wiadomość i nie wróży nic dobrego. To sprawiło, że po krótkim zastanowieniu się i mnie opuściła radość z przedłużonych wakacji. Tymczasem, następne dni przyniosły bardzo tragiczne wydarzenia. Radio podawało coraz to więcej komunikatów o bombardowaniu z samolotów, o bohaterskiej obronie wojska polskiego, o nieznacznej ale posuwającej się na wschód armii niemieckiej. Ponadto wszechobecna plotka głosiła, że Niemcy aresztują i rozstrzelują mężczyzn zdolnych

do noszenia broni. Przeto zaleca się ewakuację na wschodnie tereny kraju. Exodus ten spowodował paraliż i chaos, gdyż zbombardowana kolej przestała funkcjonować, pozostał jedynie transport kołowy i pieszy. Wśród masy napływających cywilnych uciekinierów znaleźli się również dywersanci z tzw. V kolumny. Byli to ludzie sprzyjający nieprzyjacielowi i oni jeszcze bardziej podsycali panikę, szerząc bałagan i chaos. Ci dywersanci, jak się później okazało, w dniu 9 września podpalili w kilku miejscach śródmieście Biłgoraja. Dzielnica ta o zabudowie przeważnie drewnianej w ciągu dwóch dni przestała istnieć. Nim to nastąpiło, w przeddzień pożaru nadleciały samoloty wroga, zrzuciły kilkanaście bomb, jednakże nie trafiły w żaden cel, jedynie w dom modlitwy Izraelitów, gdzie zginęło kilkadziesiąt osób. Jeszcze jeden incydent w tym czasie zbulwersował biłgorajan, a mianowicie szanowany w mieście nadleśniczy- pan Miller, manifestujący na co dzień swą patriotyczną postawę, został zdemaskowany jako szpieg niemiecki. Żandarmeria wojskowa namierzyła jego radiostację nadawczą, zainstalowaną w kominie własnej willi. Wyrokiem sądu wojennego został skazany na karę śmierci, wyrok wykonano.

Wkroczenie Niemców do Biłgoraja

Dzień 11 września w dalszym ciągu zajaśniał piękną pogodą, jedynie smród dopalających się pogorzelisk zakłócał czyste powietrze. Opowiem teraz zdarzenie, które miało wpływ na dalsze moje losy w okupowanym kraju. W dniu tym babcia moja - Maria Witkowska poleciła mi abym zaniósł bańkę nafty dla jej syna, a mojego wuja Czesława Witkowskiego, zamieszkałego na obrzeżach miasta. Nafta była potrzebna do lampy naftowej, służącej do oświetlenia, gdyż wówczas nie wszędzie było oświetlenie elektryczne. Idąc z tą bańką wzdłuż nasypu kolejowego, a była to godzina siódma rano, nagle usłyszałem strzały karabinowe. Padłem więc plackiem w kartoflisko i widzę z lewej strony jak posuwa się tyraliera niemiecka, a zza nasypu kolejowego strzelają do nich żołnierze polscy. Po kilku minutach Polacy się wycofali, a Niemcy poszli za nimi. Podniosłem się i po przejściu może dwustu metrów znalazłem się u wujostwa. Opowiedziałem im

co mnie spotkało, ale oni też słyszeli strzały i ciotka Antonina była bardzo wystraszona. Zapanowała chwila ciszy i wyczułem między nimi jakieś napięcie. Nagle ciotka zwraca się do wuja Czesława w te słowa: „*Natychmiast schowaj to świństwo albo wyrzuć.*” Wujek otworzył okno i wyrzucił jakiś przedmiot w żywopłot otaczający domostwo. Po poczęstunku herbatą i ciastem szykuję się do powrotu, gdy nagle w przedpokoju zadudniły ciężkie kroki. Otwierają się drzwi i wchodzi trzech uzbrojonych żołnierzy niemieckich, rozejrzeli się po pokoju i zażądali chleba. Ciotka natychmiast wydobyła bochenek z kredensu, odkroiła trzy potężne pajdy, oni grzecznie podziękowali i wyszli. Ja też pożegnałem się i wyszedłem. Było mi bardzo śpieszno sprawdzić, co też takiego wyrzucił wujek. Okrążyłem ogród od zewnątrz i niebawem znalazłem ów przedmiot. Był to mały pistolet, prawie taki jak mój korkowiec, służący w dzieciństwie do zabawy. Jak się później okazało, gdy mój druh drużynowy, jako rezerwista wojskowy orzekł po dokładnym obejrzeniu owej „armaty”, iż jest to pistolet belgijski o kalibrze 6 mm, służący do obrony własnej, przeważnie kobiet. Jednakże z bliskiej odległości był skuteczny. Wadą jego było to, że posiadał jedynie jeden magazynek naboí. Dla mnie to była niezwykle cenna zdobycz. Zakonserwowałem go więc i nikomu nie pisałem ani słówka. Skarb ten przeleżał przez trzy lata zatknięty za poszycie dachu drewnutni. Jeszcze tego samego dnia tj. 11 września w godzinach popołudniowych, gnany ciekawością obejrzenia z bliska wroga, z kolegami wyszedłem na miasto. To co zobaczyliśmy natychmiast obaliło przedwojenną propagandę, głoszącą o słabym uzbrojeniu, niedożywieniu i złemu zaopatrzeniu wojska niemieckiego. Ukazali się nam jako młodzi, dorodni mężczyźni w dopasowanych mundurach, z nowoczesną bronią. Natychmiast rozlokowali się, czując się jak u siebie, ustawili kuchnie polowe, przygotowując obfity posiłek, demonstrując swą niezależność, dostatek i pewność siebie. Zademonstrowali swój dobry nastrój i humor, co pokazali, gdy napotkanego w czasie przechadzki starego człowieka, starozakonnego Żyda, otoczyli wianuszkami i dla zabawy, przy pomocy nożyczek kosmetycznych, obcięli mu na połowie twarzy zarost (brodę), zanosząc

się przy tym serdecznym śmiechem. Człowiek ten w panicznym strachu czekał co z nim zrobią. Oni jednak ubawieni puścili go wolno. Tak wyglądało pierwsze zetknięcie się z okupantem. Drugim zaskoczeniem było nagle pojawienie się kolejnego okupanta, bowiem w dniu 18 września, miasto zalane zostało bolszewicką zgrają. Ci nas zaskoczyli jeszcze bardziej, gdyż nie mogliśmy zrozumieć, nijak pojąć, skąd oni tu się znaleźli, a Niemcy nagle zniknęli. Rozlepione na ścianach budynków i parkanach obwieszczenia głosiły, że o godzinie 17.00 zwołany zostanie wiec na rynku miasta. Ciekawość była tak powszechna, że zebrały się tłumy. Nie mogłem zrozumieć jakim cudem w wypalonym mieście pozostało tylu ludzi. Z platformy samochodu ciężarowego przemówił oficer polityczny, zwracając się do tłumu, wyraźnie zadowolony z takiej frekwencji, w tych słowach: *„Daragije druzja Wielki Związek Radziecki i osobiście towarzysz Stalin, przy pomocy Armii Czerwonej, wyciągnął do was pomocną dłoń, aby wyzwolić was od wyzysku polskich panów.”* W ciągu następnych kilkunastu dni nastąpiła ponowna niespodzianka, Armia Czerwona nagle zniknęła i pojawili się znajomi Niemcy. Nie byli to jednak ci sami łagodni, zabawowi, bowiem już na początku października urządzili tzw. łapankę. Wchodząc do poszczególnych domów wygarniali młodych mężczyzn zdolnych do ciężkiej pracy. W grupie tej ja również się znalazłem, bo akurat byłem w domu. Nie przeszkadzało, że byłem małoletni, niespełna piętnastoletni. Załadowano na podstawione samochody ciężarowe stu kilkunastu pojmanych i zawieziono do kamieniołomów w Rapach Dylańskich, położonych kilkanaście kilometrów od Biłgoraja. Po zaewidencjonowaniu zatrudniono nas przy wydobywaniu i załadunku kamienia wapiennego na samochody. Praca była bardzo ciężka, trwała aż do grudniowych opadów śniegu. Codziennie następował wyjazd o godzinie 6.00, powrót o zmierzchu, przerwa jednogodzinna na zjedzenie obiadowej zupy i kawałka chleba. Zupa była gotowana w kotle ustawionym na wolnym powietrzu. Po zwolnieniu z kamieniołomów zatrudniłem się w Powiatowej Spółdzielni Rolniczo- Handlowej w charakterze gońca, co uchroniło mnie przed wywózką na

przymusowe roboty do Niemiec, gdyż otrzymany auswajs sprawił, że byłem potrzebny na miejscu do dalszej budowy i umocnienia Niemiec. Na początku 1943 roku przeniosłem się do pracy w nowo powstającej wytwórni sit i przetaków, gdzie częste przerwy w pracy spowodowane były brakiem materiałów bądź zamówień. Jednakże ten auswajs był ciągle ważny, a wspomniane przerwy sprzyjały pracy konspiracyjnej. Wspomnę jeszcze o zdarzeniu, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z brutalnością wroga, a miało to miejsce, gdy byłem jeszcze gońcem. Jadąc rowerem, zjechałem z bruku na chodnik. Gdy zauważyłem, że z przeciwka, z odległości ok. 50m, w moim kierunku zbliża się Niemiec, zjechałem z powrotem na jezdnię. Niemca tego znałem, pracował w Starostwie jako V-e Hauptmann, czyli wicestarosta. Często dostarczałem do jego biura korespondencję. Nazywał się Mock. Nosił się po cywilnemu, wysokie buty z cholewami, na głowie kapelusz tyrolski z piórkiem i z nieodłącznym owczarkiem niemieckim. Z chwilą gdy zrównaliśmy się, ten bez słowa zdzielił mnie bykowcem, lewym sierpowym poprawił, a pies rozerwał spodnie i rozorał kłami łydkę. Spadłem z roweru i byłem oszołomiony, a on bez słowa odszedł. Jak śmiałem jechać rowerem po chodniku, którym on ubermensch-nadczłowiek maszerował? Tak poturbowany zaprzysiągłem krwawą zemstę. Nawet pomyślałem o moim pistolecie, że przecież mogę zrobić z niego użytek. Na razie jednak odłożyłem zamiar zemsty na później. To później nigdy jednak nie nastąpiło. Może to i lepiej, bo szkop był lepiej uzbrojony niż ja w moja pukawkę, tym bardziej że szkopa tego po kilku miesiącach gdzieś przenieśli. Być może na front wschodni, co było dotkliwą karą dla takich dekonników jak on. Ja go już więcej nie spotkałem.

W oddziale leśnym Armii Krajowej porucznika „Corda”.

Rozpoczął się trzeci rok wojny, a ja nie mam możliwości nawiązania kontaktu z konspiracją, a wiem że ona istnieje. Coraz częściej widuję, jak mój starszy brat Witold spotyka się ze swym kolegą Zbyszkciem Kogutem, jak unikają podsłuchiwanie swoich tajemnicznych rozmów i szeptów. Zacząłem śledzić Witolda i jednego

dnia podpatrzyłem jak późnym wieczorem przy pomocy małej drabinki wspina się na wysoki pień starej lipy, rosnącej w samym rogu naszego podwórka i w dziupli coś chowa. Wyczekałem na odpowiednią chwilę i za którymś razem wydobyłem z tej dziupli zwitek papieru zawinięty w kawałek płótna. Była to tzw. tajna gazetka, co mnie utwierdziło w przekonaniu, że brat mój jest konspiratorem. Jednakże moje prośby nie odniosły skutku i zostały skwitowane krótkim „*Nie ma mowy o żadnej konspiracji, jesteś za młody i nie wtrącaj się w nie swoje sprawy*”. Ponieważ po śmierci ojca on był głową rodziny, jego zdanie było wiążące i nie podlegało dyskusji. Postanowiłem działać samodzielnie typując znane mi szacowne osoby, z którymi powinienem spróbować nawiązać kontakt w sprawie tak dla mnie ważnej. Jedną z tych osób był dawny drużynowy z naszej harcerskiej wspólnoty, wzór do naśladowania, wychowawca Tadeusz Iwanicki, rezerwista WP, uczestnik ostatniej wojny. Po przedstawieniu mu swojej chęci przystąpienia do konspiracji zareagował w sposób dla mnie zaskakujący. „*Dlaczego dopiero teraz do niego przychodzę? Kilku twoich kolegów już to uczyniło wcześniej*”. Od tej chwili zostałem włączony do grupki chłopców, którzy raz w tygodniu spotykali się w umówionym miejscu, gdzie nasz drużynowy, przeprowadzał z nami rozmowy na temat aktualnej sytuacji na froncie wojennym lub dzielił się wiadomościami zaczerpniętymi z prasy konspiracyjnej. Pierwszym zadaniem jakie otrzymałem był obowiązek notowania każdego pojazdu wojskowego, zmierzającego szosą na wschód. Usadowiony w ogródku przy drodze przez cały dzień notowałem numery rejestracyjne pojazdów z możliwością określenia typu bądź jego przeznaczenia. I tak kolejno każdy z nas dyżurował przez jeden dzień w tygodniu aż do odwołania. Wreszcie wiosną 1943 roku nastąpiło wcześniej zapowiedziane spotkanie z autentycznym przedstawicielem konspiracji. W słoneczny niedzielny poranek, w trójkę udaliśmy się na wyznaczone miejsce położone w odległości około 3-4 km od miasta, niedaleko gajówki tzw. Raka nad rzeką Czarna Łada. Po długim oczekiwaniu nadszedł młody człowiek i przedstawił się, że jest tym, na którego czekamy.

Zaskoczenie nasze było całkowite, gdyż człowiekiem tym zamiast nieznanego konspiratora okazał się znany nam z imienia i nazwiska Michał Kochmański, dwudziestopięcioletni rezerwista marynarki wojennej, starszy marynarz. Na widok naszych zdziwionych min oznajmił, że nie jest dla nas żadnym Michałem Kochmańskim lecz jest żołnierzem Kedywu AK noszącym pseudonim „Gryf” i jest tu służbowo. Otrzymał rozkaz od Komendanta Leśnego Oddziału Armii Krajowej zaprzysiężenia nowo wstępujących żołnierzy do swego oddziału. Po tym oświadczeniu padła komenda: *„Baczność! Do przysięgi! Dwa palce prawej ręki ku górze!”* i za „Gryfem” powtarzaliśmy słowa przysięgi. Później komenda: *„Spocznij!”* Następnie uścisk dłoni i pocałunek z dubeltówki. *„Od tej chwili staliście się pełnoprawnymi żołnierzami Armii Krajowej”*. Cała ceremonia trwała kilka minut. „Gryf” kazał nam wracać do domu a sam poszedł w swoim kierunku. Wracając długą chwilę milczeliśmy, rozmyślając nad zaistniałą sytuacją i nad tym co nas może spotkać w najbliższej przyszłości. Odczuwałem jakiś niedosyt, czegoś mi brakowało, jakby coś mnie ominęło. To samo czuli moi dwaj koledzy. Na kolejnym spotkaniu naszej grupki nasz harcerski prowadzący Tadeusz Iwanicki „Ney” serdecznie nam pogratulował dołączenia do żołnierzy Polski Walczącej ze zniechodzoną okupantem. Aby zakończyć wątek dotyczący „Gryfa” chcę nadmienić, że był on do końca okupacji bardzo aktywnym żołnierzem. Odznaczał się wielką odwagą prowadząc pracę wywiadowczą. Przyczynił się waleń do tropienia poczynąń wroga, jak również do unicestwienia różnych służusów okupanta wywodzących się spośród Polaków i Ukraińców. On to zdemaskował i naprowadził na trop egzekutorów wykonania wyrku śmierci na niebezpiecznego konfidenta gestapo, jakim był Ostaszewski, pochodzący ze Zwierzyńca. Po wkroczeniu Armii Czerwonej i rozpoczętej nagonce na Akowców, został aresztowany i jak wielu innych zesłany do łagru na Syberii. Powrócił po trzech latach. Powróćmy do mojej pracy konspiracyjnej. Doczekałem się nowej decyzji, a mianowicie zgłosił się do mnie łącznik z rozkazem od dowódcy oddziału leśnego por. Józefa Steglińskiego „Corda”

o niezwłoczne stawienie się we wskazane miejsce. Miejszem tym był las w pobliżu Woli Małej, położony o dwa kilometry od miasta. Tam zastałem już kilku kolegów i oczekującego na nas łącznika, który miał nas doprowadzić do celu. Grupa nasza licząca siedmiu siedemnastolatków i osiemnastolatków rażno ruszyła na spotkanie niecodziennej przygody. Była pierwsza połowa czerwca 1943 roku

W obozie leśnym porucznika „Corda”

Miejsce postoju, zwane często obozem „Corda” było właściwym skupisku gwarem. Jakiś oddział szykował się do wymarszu, inny zajęty czyszczeniem broni. Jakiś głos rzucił do nas: „*O! Idą rekruci. Może napilibyście się herbatki? Tu niedaleko płynie rzeczka!*” i tym podobne docinki. Staliśmy, rozglądając się ciekawie aż nadszedł nasz łącznik po zameldowaniu szefowi obozu o naszym przybyciu. Szef skierował nas do jednego z namiotów mówiąc, że mamy się tam rozlokować, i że o godzinie czternastej będzie wspólny obiad. Oficjalne powitanie nastąpiło po capstrzyku przy ognisku. Komendant w krótkich słowach po żołniersku przemówił: „*Witam was młodzi ochotnicy – żołnierze na tym skrawku Wolnej Polski. Mam nadzieję, że nigdy tu nie stanie stopa okupanta, do czego i wy się przyczynicie*”. Przypomniat nam o złożonej przysiędze, o jej znaczeniu w warunkach w jakich przyszło nam służyć Ojczyźnie. „*Jesteście tu przede wszystkim aby stać się żołnierzami zdolnymi do walki. Przejdziecie podstawowe przeszkolenie piechoty z przystosowaniem do walki w warunkach partyzanckich. Szkolić was będą doświadczeni specjaliści, przed którymi postawiłem ambitne zadanie, aby w ciągu kilku tygodni uczynili z was zdolnych do walki żołnierzy. Wykorzystajcie tę szansę. Ojczyzna was potrzebuje. Życzę powodzenia!*” Nazajutrz po pobudce o godz. 5.30 staliśmy zebrani na placu apelowym. Już po śniadaniu do naszej grupy zwanej plutonem, a liczącym około pięćdziesięciu chłopów podszedł zastępca Komendanta, p.por. Józef Witek „Grot”. Był on oficerem służby stałej. Po zakończeniu działań w wojnie obronnej, uniknął niewoli i natychmiast zgłosił się do pracy konspiracyjnej. Był zwolennikiem stosowania w życiu obozowym surowej dyscypliny wojskowej

i konsekwentnie wprowadzał ją w życie. Często urządzał nocne alarmy, sprawdzając gotowość bojową każdego żołnierza. Swoje wystąpienie rozpoczął od pytania: *„Czy wszyscy jesteście pewni, że wytrzymacie trudy ciężkiej służby jaka was czeka? Jeśli ktoś ma choć cień wątpliwości to już w tej chwili może opuścić obóz bez żadnych konsekwencji!”*

Zaległa cisza i nikt się nie zgłosił. W dalszym wystąpieniu przedstawił w skrócie plan szkolenia: *„Teoretyczne zajęcia w zakresie budowy i działania broni ręcznej krótkiej i długiej oraz granatów, będącej na wyposażeniu tutejszego zgrupowania, poprowadzi podchorąży „Pazur”. Pluton zostaje podzielony na trzy drużyny. Każda szkolona będzie przez doświadczonego instruktora, obejmując musztrę zwartą, luźną, walkę w natarciu i odwrót w warunkach działań partyzanckich. Szkolenie praktyczne w strzelaniu poprowadzi st. sierżant „Sokół”. Czy są jakieś pytania? Nie widzę!”* padła więc komenda: *„W tył rozejść się!”*. Moją jako drugą drużynę natychmiast przejął instruktor, kapral Zygmunt Książek „Kniaź” i poprowadził ją w pole. Szkolenie było intensywne i wyczerpujące. Od godziny 7.00 do 14.00 i po obiedzie od 15.00 do 18.00. Po kolacji były pogadanki patriotyczne, ognisko, śpiewy i o godzinie 22.00 capstrzyk. Upały trwały nieprzerwanie, pot lał się strumieniami spod mokrej koszuli, a „Kniaź” mawiał: *„Nic nie szkodzi, gdyż każda szklanka potu wylana na ćwiczeniach, owocuje kroplą krwi wylanej na polu walki!”* Po trwającym trzy tygodnie szkoleniu następował egzamin. Trzeba było wykazać się umiejętnością rozbierania i złożenia zamka karabinu i pistoletu i co najważniejsze celnym strzelaniem do tarczy co było najtrudniejsze. Starszy sierżant „Sokół” wbił szpadel w ziemię, z ostrzem skierowanym ku górze. Odmierzył pięćdziesiąt kroków, wręczył pięć naboji do karabinu i z pozycji leżącej nakazał trafić w tak zainspirowaną tarczę. Zanim zgrałem szczerbinkę karabinu z wylotem lufy i celem, zauważyłem jak drga rozgrzane powietrze nad powierzchnią polany, co spowodowało, że cel też również lekko się unosił i opadał. Wówczas wyszeptałem: *„Święty Antoni wspomóż”*.

Po oddaniu pięciu strzałów stanąłem w postawie zasadniczej i zameldowałem: *„Panie sierżancie strzelec „Orkan” melduje wykonanie*

zadania!” „Sokół” podszedł do tarczy i powiedział: „Nieźle! Dwa trafienia!” Wtedy uwierzyłem, że przysłowie: „Żołnierz strzela, Pan Bóg kule nosi” sprawdza się w całej wymowie. Kryteria oceny strzelania wyglądały następująco: na pięć strzałów zero trafień – niedostateczny, jedno – dostateczny, dwa – dobry, trzy – bardzo dobry. Dobry wynik w strzelaniu w niedalekiej przyszłości będzie miał dla mnie kapitalne znaczenie. Bowiem rok później gdy stawiałem się na koncentrację, w pamiętne dni czerwca, byłem spóźniony o jeden dzień. Spóźnienie moje aczkolwiek nie z mojej winy, spowodowało, że znalazłem się w grupie żołnierzy, którzy na skutek braku uzbrojenia dla nich, zarządzeniem Komendanta, w trosce o ich bezpieczeństwo odesłano do domu. Zawiedziony decyzją Komendanta, znalazłem się w rozpacz, szykując się do opuszczenia obozu. Postanowiłem zwrócić się o pomoc do starszego sierżanta „Sokoła”, przypominając mu, że kiedyś chwalił mnie za dobre wyniki w strzelaniu. Starszy sierżant „Sokół” spokojnie mnie wysłuchał i powiedział: *„Decyzji raz powziętej komendant nigdy nie zmienia i na moją prośbę tego nie zrobi. Pamiętam, że jesteś niezłym strzelcem, później też sprawdzałeś się w różnych akcjach. Wezmę cię do swego pododdziału na własną odpowiedzialność. Jednakże pod jednym warunkiem, że nie piśniesz ani słowem nikomu.”* Podniosłem dwa palce ku górze i wyrecytowałem: *„Przysięgam uroczyście, że nigdy nikomu o tej sprawie nie wspomnę i daję słowo honoru harcerza i żołnierza Armii Krajowej”.*

Położenie obozu leśnego oddziału porucznika „Corda”.

Umiejscowienie obozu zostało starannie wybrane, teren gęsto porośnięty lasem sosnowym. Od południa, wschodu i północy otoczony podmokłym i bagiennym terenem. Od strony zachodniej porośnięty częściowo młodnikiem i lasem wysokopiennym. Tam na przecięciu się dwóch duktów w odległości około 500 metrów od obozu obserwację terenu pełniło dwóch żołnierzy uzbrojonych w broń długą i lornetki, w czasie od świtu do zmierzchu. Na noc posterunek ściągany był do obozu. Zabudowa obozu oparta była na niedomkniętym okręgu (kole). Od lewej zbudowano sześć szałasów zagłębionych

do połowy w ziemi, wykonanych z okrągłaków uszczelnionych mchem. Dach z tarcicy pokryty papą i zamaskowany jedliną. W szałasie mogło jednocześnie ułożyć się do snu nawet dwunastu żołnierzy. Szalasy te miały za zadanie zakwaterowanie, nawet w warunkach zimowych, tych żołnierzy, którzy byli zdekonspirowani i nie mogli powrócić do domu. Następne trzy pomieszczenia to namioty płócienne, w tym jeden dowództwa, a za nimi zadaszenie dla koni i bryczki komendanta. Ostatnią zabudowę stanowiła kuchnia wojskowa, osłonięta z trzech stron ścianami z tarcicy i daszkiem. Cały obóz był więc dość pojemny. Został zorganizowany z myślą o masowym szkoleniu młodych żołnierzy dla potrzeb nie tylko własnych ale i do zasilenia innych oddziałów leśnych AK Obwodu Biłgoraj. Taki obraz obozu zapamiętałem po dzień dzisiejszy i nigdy go nie zapomnę. Nie zapomnę również wydarzenia związanego z osobą Komendanta, bowiem od pierwszych dni spędzonych w obozie, nie opuszczała mnie myśl o rzekomo znanej mi skądś jego twarzy. Komendant zwykle występował ubrany w mundur oficerski i rogatywkę, stąd trudno mi było skojarzyć ze znajomą mi osobą. Zdarzyło się, iż pewnego dnia Komendant wyprawiał się w drogę ubrany po cywilnemu i w cyklistówce wyprowadzając rower. W tym momencie zaświtała myśl w mojej głowie: „Już wiem!” Chyba ze dwa lata temu, kilka razy zanosilem do zakładu wulkanicznego dętkę od roweru lub kalosze do sklejenia. Zakład ten prowadził ubrany w poplamiony kombinezon człowiek, przed którym dziś stoję na baczność i biję w dach. Jest nim mój dowódca por. „Cord”. Zakład ten był usytuowany przy ulicy Tarnogrodzkiej naprzeciwko budynku zajętego przez gestapo. Użyto więc kamuflażu jedynie po to, aby móc obserwować osoby wchodzące i wychodzące z tego gniazda represji hitlerowskiej. Ale o tym dowiedziałem się po zakończeniu wojny. Zakończenie szkolenia i pasowanie na prawdziwego żołnierza nie kończyło związku z oddziałem, choć opuściłem obóz robiąc miejsce dla kolejnych ochotników. Każdy z nas był zobowiązany na każde wezwanie dowództwa stawić się w miejscu w czasie ściśle określonym.

W Szkole Młodszych Dowódców.

Wiosną 1944 roku rozkazem Komendanta „Corda” powołany zostałem do odbycia drugiego stopnia szkolenia w tzw. Szkole Młodszych Dowódców. Jednakże nie było mi dane ukończenia tejże szkoły, gdyż ważne wydarzenia jakie miały nastąpić zdecydowały inaczej. Władze okupacyjne wroga zmierzające do całkowitego wyniszczenia ludności na Zamojszczyźnie, zarządziły akcję pacyfikacyjno - wysiedleńczą. Dowództwo Okręgu Armii Krajowej porażone ogromem nieszczęścia jakie spadło na ludność Zamojszczyzny, postanowiło zdecydowanie przeciwstawić się okupantowi. W tym celu wszystkie podległe oddziały jakie były w dyspozycji, łącznie z oddziałami Batalionów Chłopskich, otrzymały rozkaz jako zadanie naczelne, ochronę ludności miejscowej. Rozgorzała więc walka na terenie całej Zamojszczyzny. Poszczególne oddziały nękały nocami nasiedleńców niemieckich zwanych „czarnymi”. Następowala rekwizycja ziemiopłodów, trzody chlewnej, bydła itp. Ponadto były wymierzane kary chłosty zbyt gorliwym nasiedleńcom. Skutek był taki, że niektórzy opuszczali zagarnięte gospodarstwa dokonując zemsty poprzez ich dewastację. Inną formą wyniszczającą ludność była dostępność w łatwym nabywaniu wódki oraz tolerowanie istnienia prywatnych bimbrowni. Nadchodzące sygnały z okolicznych wsi, informujące o miejscu i nazwiskach bimbrowników, skutkowały tym, że wysyłane były karne ekspedycje, mające na celu niszczenie zapasów bimbru, aparatury do jego produkcji oraz niejednokrotnie przygotowanego zacieru, a właściciel był surowo ostrzegany. Niepodporządkowanie się ostrzeżeniom, w razie recydywy karane było chłostą, co działało najskuteczniej. Nie ustawała również walka z okupantem w zakresie utrudniania mu zaopatrzenia w sprzęt i materiały na potrzeby frontu. W tym celu niszczone były transport szynowy i kolejowy, jak również instalacje łączności. Dla mnie ponadto doniosłym przeżyciem było również to, że mogłem wziąć czynny udział w przyjmowaniu zrzutów lotniczych z samolotów alianckich, zaopatrujących nasze oddziały w sprzęt wojenny, służący do walki z okupantem. Niezapomniana przygoda wydarzyła się ósmego maja 1944 roku. Dwie drużyny naszego

drugiego plutonu bladym świtem zostały poderwane ostrym alarmem bojowym. Jedna została skierowana do zarekwirowania w pobliskiej wsi kilkunastu podwód na czas jakiejś tajemniczej akcji. Druga śpiesznym marszem udała się w kierunku wsi Tereszpól. Tam obsadziliśmy odcinek szosy Biłgoraj – Zwierzyniec na ostrym zakręcie. Zamaskowani po obu stronach szosy, z bronią gotową do akcji, rozpoczęliśmy oczekiwanie na mający ukazać się cel naszej akcji. Oczekiwanie przedłużało się w nieskończoność. Niektórzy zwątpili czy w ogóle się ukaże. Dopiero późnym popołudniem, wysunięta do przodu czujka dała sygnał: „*Nadjeżdża!*” Padła więc komenda: „*Gotuj broń!*” Gdy zza zakrętu ukazał się duży samochód ciężarowy, czterech żołnierzy wyskoczyło na środek szosy dając znak do zatrzymania się. Gdy samochód stanął ci podbiegli i nakazali dwóm konwojentom, żandarmom wysiadać, którzy posłusznie z przerażeniem w oczach pozwolili się rozbroić. Natychmiast podjechały podwozy i w kilkanaście minut cały ładunek został na nie przeładowany. Ładunek był niezwykle. W drewnianych transporterach mieściły się butelki z białą główką napełnione wyborową wódką. Zdobyty alkohol, jak się później okazało po przeliczeniu, liczący cztery tysiące litrów został w całości zmagazynowany, okryty plandeką i zaplombowany. Miał w przyszłości stanowić walutę wymienną na zakup broni. Akcja zakończyła się pomyślnie dzięki temu, że kolega nasz Bolesław Dobrowolski „Gordon” pełniący funkcję zawodowego kierowcy w firmie transportowej, dał znać o zamierzonym wcześniej wyjeździe po jakiś cenny ładunek do Lwowa. Akcją kierował starszy sierżant „Sokół”. W imieniu Komendanta poinformował, że pod żadnym pozorem ani jedna butelka nie może zaginąć, w innym wypadku winny zostanie surowo ukarany, a z Komendantem to nie przelewki. Tymczasem po powrocie do obozu, tuż przed kolacją, a był to dzień ósmego maja, a więc imieniny Stanisława, których w oddziale było kilkunastu, postanowili wystąpić do Komendanta z prośbą o przydział chociaż niewielkiej ilości wódki na tę okoliczność. Komendant aczkolwiek był zdecydowanym wrogiem alkoholu, wszak był również harcmistrzem, uległ prośbie Stanisławów i w swej hojności

przydzielił po ćwiartce na dwóch. W połowie maja mój dowódca drużyny „Kniaź” zawiadomił mnie, że mam niezwłocznie stawić się u Komendanta. Po przepisowym zameldowaniu się: „Szeregowy „Orkan” melduje się na rozkaz”. Komendant krótko: „Spocznij i siadaj mam dla ciebie poważne zadanie. Co ci mówi nazwisko Michał Lewicki? Czy znasz takiego człowieka?” Po krótkim zastanowieniu się mówię, że takie nazwisko nosił mój kolega z klasy w szkole powszechnej, był ode mnie starszy o rok, gdyż powtarzał jedną klasę. Od tamtego czasu tzn. od kilku lat widziałem go dwa, a może trzy razy i tyle. „A więc znasz go, to dobrze. Jest on niebezpiecznym informatorem gestapo. Jego działalność spowodowała aresztowanie i skazanie kilku naszych działaczy. Na niego zapadł wyrok śmierci zatwierdzony przez Okręg AK. Twoim zadaniem będzie wytropienie go i doprowadzenie egzekutorów w taki sposób, aby mogli wykonać na nim wyrok. Wykluczenie pomyłki ma zapewnić twoja osobista znajomość skazanego. Masz dziesięć dni, aby przedstawić plan tego działania, jaki będziesz zobowiązany przedstawić mi do zaakceptowania. Zrozumiałeś rozkaz?” - „Tak jest!” - „Masz jakieś pytania?” - „Nie mam!” - „A zatem do roboty. Jeszcze dziś opuścisz obóz!” - „Tak jest!”

Przepisowo zrobiłem w tył zwrot i wyszedłem z namiotu Komendanta. W głowie kotłowała mi się myśl, czy to możliwe żeby mój kolega szkolny Michał był zdrajcą i druga, skąd Komendant mógł wiedzieć, że to ja znam Michała Lewickiego? Byłem tak przejęty zaistniałą sytuacją, że szedłem i nic nie widziałem przed sobą. Jedynie twarz Michała majaczyła we mgle. Nagle pojawił się przede mną „Kniaź”. Potrząsnął mną i pyta: „Jak ci poszło u Komendanta?” Spojrzałem na jego twarz okoloną imponującą rudą brodą i już miałem odpowiedź na moje drugie pytanie. „Ach to ty napuściłeś Komendanta w sprawie Michała Lewickiego. Teraz wszystko jasne.” Nie zaprzeczał mówiąc, że spełnił swój obowiązek. „Kniaź” był starszy ode mnie o siedem lat. Przed wojną jako instruktor sportowy szkolił młodzież. Spotykaliśmy się bardzo często na stadionie sportowym, ponadto imponował nam jako filar drużyny piłkarskiej. Grał skutecznie na pozycji pomocnika. Stąd znał Michała jako jednego

z grupy ćwiczącej pod jego kierunkiem lekkoatletykę. Ponadto, jak się później okazało on pierwszy wskazał Michała jako podejrzanego o współpracę z okupantem. Przystępując energicznie do powierzonego mi zadania odnowiłem stare znajomości wśród dawnych kolegów szkolnych. Niezwłocznie ustaliłem, że Michał pracuje jako magazynier w mleczarni. Ma się dobrze i nawet z nich od czasu do czasu dostaje od niego kostkę masła. Ponadto dołączył do grupy Ukraińców pozostającej w dobrych stosunkach z władzami niemieckimi, jako że obiecano im uzyskanie w przyszłości tzw. Niezawisłej Ukrainy. Przypomniałem sobie również, że Michał był wyznania prawosławnego. Jednakże ani on ani nikt z jego rodziny nie znał nawet języka ukraińskiego. W następnych spotkaniach z kolegami, dotarło do mnie, że jeździ nowym rowerem i ma sympatię, zamożną dziewczynę. Dziewczyna ta mieszka z rodzicami na końcu ulicy Zamojskiej, już na obrzeżach miasta, gdzie prowadzą gospodarstwo rolne i warzywne. Wytypowałem więc jeden z budynków, który odpowiadał moim zdaniem podobnym przeznaczeniom. Dokładnie go obejrzałem w ciągu dnia i poddałem obserwacji porą wieczorową. Nie czekałem długo, bowiem już następnego dnia, około godziny dziewiętnastej, ukryty za żywopłotem rozpoznałem sylwetkę pedałującego Michała. Długo słuchałem koncertu śpiewających słowików i kumkania żab, jako że był to wieczór majowy, sprzyjał on również Michałowi, który z trudem oderwał się od swojej dziewczyny. Gdy ukazała się jego sylwetka na rowerze, na moim zegarku była godzina 22.00, a zatem już dawno minęła godzina policyjna. Nie mogłem wracać do domu. On zapewne miał nocną przepustkę. Powędrowałem więc do najbliższego domostwa, w którym o każdej porze znalazło się miejsce dla potrzebującego schronienia. Był to dom państwa Mikulskich, położony w Woli Małej. Tam pan Mikulski jako nadleśniczy mieszkał z rodziną. Stamtąd na drugi dzień udałem się do obozu. Gdy zameldowałem się u Komendanta i zdałem relację z powierzonej mi misji, od wydania rozkazu upłynęło siedem dni. Po wysłuchaniu mojego szczegółowego omówienia sytuacji podjął decyzje natychmiast. Wezwał do swego namiotu dwóch żołnierzy z kompanii warszawskiej, jak fama niosła członków

Kedywu, takich do specjalnych poruczeń. Wydał jak zwykle krótki i precyzyjny rozkaz: „*Jutro po południu pobierzecie krótką broń, po dwa zapasowe magazynki i po dwa granaty ręczne obronne, tak na wszelki wypadek. Dostaniecie moją bryczkę z woźnicą i wyruszyście. Likwidacji dokonacie na człowieku wskazanym przez „Orkana”, koniecznie poza zabudowaniami gospodarstwa. To wszystko wykonać! Życzę powodzenia ruszajcie!*” Była sobota, wczesnym wieczorem byliśmy na stanowiskach, ukryci za żywopłotem, obserwowaliśmy bacznie domostwo, w którym miał być ukryty cel naszej zasadzki. Tak jak podczas mojej niedawnej obserwacji, około godziny 22.00 skrzypnęły zawiasy, dawno niesmarowane przy furtce, tak i teraz po dłuższej chwili, Michał z trudem oderwał się od swojej dziewczyny. Ruszył wolno pedałując, a widoczny był doskonale w blaskach jasno świecącego księżyca, gdy zbliżył się do wylotu alejki utworzonej z żywopłotu. Tam, kij wetknięty w szprychy roweru spowodował, że przekeziółkował przez kierownicę i padł na ziemię. Momentalnie został obezwładniony, ręce skrępowane przygotowanym sznurkiem pozbawiły go możliwości jakiegokolwiek obrony. Po doprowadzeniu do oczekującej bryczki, rozpoczęliśmy śpieszny powrót do obozu. Wykonawcy wyroku uznali, że większy pożytek będzie z pojmanego, gdy złoży odpowiednie zeznanie. Woźnica doskonale znający teren, w późnych godzinach nocnych dowiózł nas do obozu. W czasie jazdy Michał kilkakrotnie dopytywał mnie co z nim będzie. Za każdym razem odpowiadałem, że nie wolno mi z tobą rozmawiać! Jednakże po zjedzeniu spóźnionej kolacji, zaniósłem Michałowi coś do jedzenia, a w obozie obowiązywała zasada, ustanowiona już dawno przez Komendanta, że dla żołnierzy powracających z akcji ma być pozostawiony gorący posiłek. Michał jednakże nie chciał tknąć jedzenia, duszkiem wypił kawę, wciąż zadając to samo pytanie: „*Co ze mną będzie?*” Odpowiadając w końcu na to pytanie, zapytałem czy wie gdzie się znajduje? - „*Tak wiem!*” - Wiec jeżeli przy przesłuchaniu, opowie prawdę i to całą prawdę o swojej działalności na rzecz okupanta i niczego nie zatai, to być może uratuje skórę. Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem, wyrażającym niedowierzanie,

po czym spuścił głowę i zamilkł. Świtało już gdy opuszczałem szalas aresztancki przekonany, że Michał zdawał sobie sprawę ze swego położenia. Kilka dni później został stracony razem ze swoim wujem, trzydziestoczteroletnim zajadłym Ukraińcem, który wciągnął go do tej paskudnej roboty, a który w innej zasadzce został ujęty. Obaj doznali haniebnej śmierci przez powieszenie, z tym że Michał, jak głosiła obozowa plotka, odpowiadał chętnie na wszystkie zadawane mu pytania, zaś wuj na żadne.

Najpiękniejsze kwiaty świata- lilie wodne

Świtem dwudziestego trzeciego czerwca 1944 roku starszy sierżant „Sokół” wyznaczył pięcioosobowy patrol pod dowództwem plutonowego „Brzóska”, w skład którego i ja wchodziłem. Mogło to nastąpić dzięki temu, że sierżant „Sokół” na własną odpowiedzialność przyjął mnie do swego pododdziału. Przyczynił się tym do ocalenia mojego honoru i uchronił mnie od wykonania rozkazu Komendanta o obowiązku opuszczenia obozu, przez tych żołnierzy, którzy spóźnili się na koncentrację o jeden dzień, i dla których zabrakło uzbrojenia. Rozkaz ten miał na celu troskę o ich bezpieczeństwo, o czym wspominałem poprzednio. Zadaniem patrolu było stwierdzenie, czy na południowym odcinku od obozu jest nieprzyjaciel. Ruszyliśmy jak nakazywała czujność tyralierą, jeden od drugiego oddalony na odległość wzrokową. Początkowo nie natrafiiliśmy na żadne ślady, które wskazywałyby na obecność nieprzyjaciela, jedynie było słychać odgłosy dalekiej strzelaniny. Idąc w jej kierunku słyszeliśmy jak się wzmagają, jednakże w dalszym ciągu nie było widać nieprzyjaciela. Tak zastał nas zmierzch i „Brzózka” zarządził nocleg, tym bardziej, że natrafiiliśmy na niewielką polanę, gdzie stały kopy siana. Wczesny ranek obudził nas gwałtowną strzelaniną, w pośpiechu więc opuściliśmy nasze legowisko i skryliśmy się w gęstwinie młodnika. Niebawem obserwując niedaleki dukt leśny, zauważyliśmy jak nim galopem przemknął niewielki oddział jeźdźców. Byli to Kałmucy w niemieckich mundurach. Po tym incydencie, czołgając się przekroczyliśmy dukt, bacznie obserwując otoczenie, aby nie natknąć się na niemiecką

tyralierę, posuwając się w ślad za oddalającą się grupką kałmuckich kawalerzystów. Ponowna zmiana kierunku naszego posuwania się, doprowadziła nas do gajówki. Tam obserwując ją z gąszczu porastających krzaków jeżyn, „Brzózka” za pomocą lornetki, zauważył Niemców krzątających się przy kuchni polowej. Uznał więc, że w tej sytuacji nie zdołamy w żaden sposób dotrzeć do obozu z wiadomością o obecności nieprzyjaciela na każdym kierunku. Co więcej, znaleźliśmy się w okrążeniu i będzie nam trudno się z niego wydostać. Plutonowy „Brzózka” był doświadczonym żołnierzem, miał za sobą kampanię wrześniową, ukończoną szkołę podoficerską piechoty i trzydzieści lat życia. W tej sytuacji postanowił, jako dowódca odpowiedzialny za nas wszystkich, za cały patrol i każdego z nas, że od tej chwili musimy działać w rozproszeniu to znaczy, że każdy z nas będzie starał się samodzielnie wydostać z okrążenia. Z żalem więc uścisnęliśmy sobie dłonie i w milczeniu każdy z nas poszedł w innym kierunku. Poszedł to niewłaściwe słowo, raczej poczołgał się, jak ścigane zwierzę. Zostałem sam, zielonego pojęcia nie miałem gdzie się znajduję, straciłem całkowicie orientację. Słońca nie było już od kilku dni, natomiast deszcz padał dzień i noc bez przerwy. Wprawdzie było bardzo ciepło i duszno, ale przez przemoczone ubranie odczuwałem przenikliwie zimno. Kluczyłem tak do samego wieczora. Kierowałem kroki tam, gdzie strzelanina cichła. Gdy się wzmagala zawracałem i szedłem z powrotem. Wreszcie strzelanina ucichła, zrobiło się całkiem ciemno. Słowem czarna noc, że na dwa kroki nic nie widać. Przycupnąłem pod rozłożystym świerkiem, nałamałem trochę jedliny i ułożyłem się do snu. Uprzednio zjadłem resztki przemoczonego chleba i cukru wyfasowanego na drogę. Sen jednak mimo potwornego przemęczenia nie nadchodził. Myśli krążyły wokół jednej sprawy. Jak się wydostać z tej paskudnej matni? Gdy o świcie otworzyłem oczy, ukazał się przede mną niezwykle widok. Znalazłem się na brzegu niewielkiego jeziora, a raczej stawu czy wręcz sadzawki. Nic takiego wczorajszego wieczora nie widziałem. Pomyślałem przez chwilę, że może majacze? Ale nie, przede mną spora tafla wody, na której powierzchni pływają rozłożyste liście lilii wodnych, gdzieniegdzie

ubarwione pąkami kwiatów. Jakże niesamowicie widok ten przeciwstawiał się grozie otoczenia. Z zadumy wyrwała mnie nagła strzelanina i wybuchy granatów. Ponadto ogień otworzyły działa artylerii. Las został wypełniony kanonadą, a pociski łamały wierzchołki sosen. Nie wiedziałem, gdzie miałbym się ukryć. Rzuciłem się więc w toń jeziorka nie bardzo wiedząc co robię. Oszołomiony hukiem i zupełnie ogłuszony, zanurzyłem się najpierw po pas, a później wpełzając leżąc wystawiłem tylko twarz spomiędzy liści. Obserwowałem trwożnymi oczami najbliższą przestrzeń, ale niczego niepokojącego nie zauważyłem. Tymczasem kanonada trwała nieprzerwanie. Nie wiem, jak długo przebywałem w zanurzeniu, straciłem poczucie czasu. Chciałem jak najszybciej wyjść z tej wody, bez względu na konsekwencje. Jednakże jakaś siła, może resztki rozsądku powstrzymały mnie od tego zamiaru. Może powstrzymała mnie świadomość, że na powierzchni nie jest lepiej, bowiem deszcz nie ustawał ani na chwilę. Nagle kanonada ucichła i zaległa głęboka cisza. Już się podniosłem z toni aby wyjść, gdy kątem oka zauważyłem nowe niebezpieczeństwo, które spowodowało ponowne zanurzenie. Po przeciwnej stronie jeziorka wyłoniła się tyraliera nieprzyjaciela zmierzająca, jak mi się wydawało w moim kierunku. Każdy z żołnierzy prowadził na długiej smyczy psa, który penetrował teren wypatrując zdobyczy. Psy czyniły potworny hałas swym ujadaniem i chociaż skryłem głowę pod taflą wody, to jednak słyszałem ich ujadanie. Teraz byłem skoncentrowany na tym, aby jak najdłużej nie wychylać głowy z wody. Wreszcie musiałem wystawić twarz, aby zaczerpnąć powietrza. Robiąc to bardzo powoli, uniosłem lekko liść. Liść ten, potężnych rozmiarów przykrył mi całą twarz tak, że przez wytworzoną szczelinę między wodą a liściem mogłem lekko oddychać. Po dłuższej chwili, gdy ostrożnie odchyliłem liść, ujrzałem oddalającą się tyralierę z ujadającymi psami. Odetchnąłem z ulgą, chociaż niebezpieczeństwo istniało nadal. Wprawdzie nie byłem zbyt doświadczonym żołnierzem, to jednak wiedziałem, że za pierwszą linią tyraliery idzie druga, a nawet trzecia. I nie myliłem się w swoich rozważaniach, bowiem po niedługim czasie przeszła druga linia tyraliery, a po niej pojedynczy żołnierze, ciągnąc

jakieś zaopatrzenie. Postanowienie pozostania w wodzie było konieczne, tym bardziej że ulewa trwała nadal. Przebywanie w wodzie wydawało się korzystniejsze, gdyż tam było o kilka stopni cieplej. W taki sposób pozostałem w wodzie aż do zmierzchu, dopóki nie zapanowała całkowita cisza. Po wyjściu z wody poczułem przejmujący chłód. Zacząłem więc podskakiwać, wymachiwać rękami, dreptać w miejscu aż się trochę rozgrzałem. Gdy minął strach, przynajmniej częściowo, wówczas organizm dopomniął się o jedzenie. Wszak przez dwie doby, prawie nic nie jadłem, a woda wyciągnęła ze mnie resztki energii. Wpłynąłem więc na swoje miejsce pod świerk, starając się zmusić do snu. Ten jednak nie nadchodził. Długie godziny tej krótkiej świętojańskiej nocy wlokły się w nieskończoność. Długo jeszcze słuchałem koncertu kumkających żab, aż zapadłem w półsen. Świt przywitał mnie dawno niewidzianym słońcem. Poczułem się fatalnie, obolały od stóp do głowy. Byłem strasznie osłabiony, ledwie trzymałem się na nogach, a miałem wtedy dziewiętnaście lat i byłem wysportowany. Przez sporą chwilę nasłuchiwałem, czy ten spokój i cisza to nie moje majaki? Czy naprawdę wkoło nic się nie dzieje? Gdy się upewniłem, że naprawdę jest cisza postanowiłem, że dłużej tu nie pozostanę, niech się dzieje co chce. Ruszyłem przed siebie ale nogi natychmiast odmówiły posłuszeństwa. Posuwałem się od drzewa do drzewa, chwytając rękami każdy pień, aby nie stracić równowagi. Brnąłem tak przez kilka godzin, padałem, podnosiłem się i znowu padałem, aby odpocząć. Słońce już było wysoko, gdy kolejny raz podniosłem się i zrobiłem kilka kroków. Zobaczyłem między drzewami zabudowania. Jeszcze kilkadziesiąt kroków i stanąłem w drzwiach chaty. W chałupie nie było nikogo. Podobnie w pozostałych, a było ich kilka. Wszystkie były splądrowane i ani żywego ducha. Zacząłem gorączkowo szukać coś do jedzenia. W żadnej chacie nie znalazłem nic, co nadawałoby się do jedzenia. Dopiero w jakimś chlewiku w korycie znalazłem trochę kartofli. Rzuciłem się na nie i nie obierając ze skóry pałaszowałem bez opamiętania, spoglądając czy na pewno ich wystarczy na zaspokojenie mojego głodu. Pragnienie ugasilem świeżą wodą ze studni i dopiero wtedy spojrzałem przytomnie na przysiółek, zastanawiając się nad

losem tych ludzi co tu dotychczas mieszkali. Co się mogło z nimi stać? Wróciłem do chlewika i napełniłem chlebak pozostałymi ziemniakami, myśląc z wdzięcznością o świnkach, które je pozostawiły. Odszedłem kilkadziesiąt metrów od przysiółka, usadowiłem się w bezpiecznej odległości i obserwowałem chaty, czy nie pojawi się jakaś żywa dusza. Niestety nikt się nie pojawił. Ośmielony panującym spokojem i pokrzepiony jadłem, ruszyłem w dalszą drogę, jednakże zachowując wzmożoną czujność. Nie bez żalu pozbyłem się swojej broni, którą utopiłem w jeziorcu, gdyż już wówczas uznałem ją za bezużyteczną z uwagi na zamoczoną amunicję. Tak, jak postanowiłem na samym początku kierowałem się wciąż na północ, gdzie według mnie powinien znajdować się mój dom. Kierunek ten, już o zachodzie słońca okazał się właściwy, bo dotarłem do znanej mi wioski, Wola Mała. To tak, jakby już w domu. Z Woli Małej, kierując się na stawy Ćwikły, następnie przez Piaski i ogrody dochodziło się do ulicy 3-go Maja, gdzie stał mój dom. W taki to sposób dzięki Opatrzności i odrobinie szczęścia, wyniosłem cało skórę z opresji, która wydawała się bez wyjścia. Mnie się udało, natomiast plutonowy „Brzózka” poległ. Z pozostałymi trzema kolegami, nie wiem co się stało, nie znałem ich pseudonimów, a tym bardziej nazwisk. W domu zastałem matkę pogrążoną w rozpacz. Wprawdzie bardzo się ucieszyła z mojego powrotu, ale nie do końca, bo do pełnego szczęścia brakowało wiadomości o drugim synu. Brat mój, Witold ps. „Olgierd” był tak samo jak ja, a nawet wcześniej ode mnie w tym samym oddziale por. „Corda”. Jako uczestnik szkoły podchorążych brał czynny udział w walkach pod Osuchami. Podobnie jak ja, wyszedł z okrążenia cało, jednakże celowo opóźniał swój powrót do domu w obawie przed ewentualnym aresztowaniem przez gestapo. Matka nasza, aczkolwiek była chroniona przez nas, synów przed ujawnieniem prawdy o naszych konspiracyjnych zaangażowaniach, to jednak domyślała się powodów, dla których znikaliśmy na całe dni, a nawet tygodnie. Tuż po zakończeniu akcji przeciwpartyzanckiej w Puszczy Solskiej, Niemcy schwytanych, żywych partyzantów rozstrzelali w lesie na Rapach. Tam życie oddało około sześćdziesięciu żołnierzy

Armii Krajowej. Wiadomość o ich losie poraziła mieszkańców Biłgoraja i nie tylko. Spotkana znajoma naszej matki, pani Żelezikowa pogrążona w skrajnej rozpacz powiedziała jej o śmierci swego syna. Najmłodszy żołnierz oddziału por. „Corda”, szesnastoletni Henryk Żelezik „Student” poległ pod Osuchami. Wiadomości te, które pocztą pantoflową rozchodziły się błyskawicznie, poraziły nie jedną matkę. Nie ominęły również naszej. Dopiero, gdy zobaczyła nas na własne oczy żywych i całych, kamień spadł jej z serca.



Przed ekspedycją karną przeciwko
nasiedleńcom niemieckim
tzw. „czarnym”.
Od lewej stoją:
kpr. Z. Kozłowski „Pelikan”,
szer. „Gwóźdź”,
szer. Roman Kiciński „Orkan”.



Roman Kiciński „Orkan”.

Henryk Nowicki „Orzeł”

Niedokończona relacja – wspomnienia żołnierza z oddziału Edwarda Błaszczaka „Groma”

Do organizacji wstąpiłem 2 lutego 1942 roku i wtedy zostałem zaprzysiężony. W Józefowie zorganizowali z młodzieżą kurs sanitarny, pierwszej pomocy. Byli tam chłopcy i były dziewczyny, razem dwadzieścia osób. Szkolenia odbywały się w takim domku, tu gdzie teraz jest obok piekarnia. Wykładał nam Kazimierz Białoszewski „Biskup”. Na te wykłady przyszedł Konrad Bartoszewski „Wir” i przy tej okazji była przysięga dla tych dwudziestu ludzi. Potem była druga przysięga, jak poszliśmy do lasu, po tej akcji na niemieckich szpicli w Józefowie. Mieliliśmy tam mszę w lesie i jeszcze raz cały oddział składał przysięgę, bo przybyło wówczas dużo ludzi. Oddział wtedy wzrósł do stu ludzi. Była msza, przyjechał ksiądz z Józefowa. Po akcji na szpicli, zabraliśmy tego jednego zabitego Niemca na moją furmankę. Opiekowałem się końmi, bo byłem jeszcze za młody do działania. Jak ta akcja miała być, poszliśmy na rynek dowiedzieć się co tam słychać. Mówią, że jest obstawiony Józefów i że szpicle są. Zobaczył mnie jeden starszy chłopak tzn. starszy konspiracyjnie i mówi: *„Słuchaj Heniek tam koło wapniarki, w tym i w tym miejscu, stoi para koni bez ludzi. Na furmance jest w worku amunicja. Idź tam do lasu to znajdziesz te konie i jakby w Józefowie odezwały się strzały, to natychmiast końmi przyjeżdżaj do Józefowa”*. No to posłuchałem starszego chłopaka a wiem, że on zaangażowany jest w organizacji o trzy lata wcześniej ode mnie. To był Hajduk Stanisław „Chomik” z Józefowa. Potem się splamił, bo w dzień pracował z UB, a w nocy z „Wirem”, taki drań był. To był stryjeczny brat Lucjana Hajduka „Ognia”. Jak usłyszałem w Józefowie serię z erkaemu, to wtedy za konie i do Józefowa biegiem, tu z tej strony od Łukowej. Wpadam tam, koło dzisiejszego ronda i mam wjeżdżać do Józefowa, patrzę a tam ludzi pełno. To ja podjeżdżam tylko tyle ile mogę i od razu skręcam w lewo, konie przywiązuję do płotu i lecę do ludzi zobaczyć co tam się dzieje. Mówią,

że Kolaszyński tam jest z Niemcem i walczą. Już jeden od nas został lekko ranny - Kobylas, żołnierz oddziału. Niemiec z tej obory drzwi otworzył, strzelił i akurat go trafił. Potem tego Kobylasta nasza organizacja zabiła i do dzisiaj nawet nie wiem kto. Kobieta i mężczyzna, tylko tyle wiemy. To on wydał bezpiece „Selima” i za to został zabity. To było tak. Pociąg przychodził codziennie do Długiego Kąta o godzinie osiemnastej. Taka była moda, że do pociągu w Majdanie Nepryskim ludzie wychodzili wtedy, gdy jechał pociąg osobowy. Ktoś tam rzuci pakunek, czy walizkę żonie lub rodzinie, żeby nie nieść z Długiego Kąta. Tam jest taka górka, zakręty i pociąg zwalniał ze względu na bezpieczeństwo, to sprytni chłopaki nawet sobie skakali z pociągu. Po co ma z Długiego Kąta iść na ten koniec te dwa kilometry, jak sobie wyskoczy. I tak ludzie chodzili do pociągu, pomachali sobie, taka była moda. Do pociągu wyszedł i Kobylas, też powitać kogoś. To robiło się codziennie. Jak szedł do pociągu, w tym czasie dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna spod płaszcza wyjęli automat i zabili Kobylasa. Po wyzwoleniu wracałem raz z Wrocławia. Jechało ze mną dwoje młodych i jeden z nich tak się mnie przyglądał, a ja jemu. Aż dopiero bliżej Józefowa on mówi, że nazywa się Kobylas. Odpowiadam, że Kobylas to był tylko jeden, był ze mną w lesie i został zabity w Majdanie. Wtedy on mówi, że jest jego synem i że ojca zabił Feliks Pardus „Piast”, ten szef z Józefowa. Powiedziałem mu, że jest w błędzie. Ja nie bronię Pardusa ani nikogo, ale to, co ja wiem, to raczej nie. Wiem, że zabili go kobieta i mężczyzna przy torze w Majdanie. Pardus był w tym czasie już w Łodzi komendantem milicji. Ja go nawet odwiedziłem, bo on był szefem oddziału. Z kolegą jechaliśmy na zachód i wstąpiliśmy, bo trzeba było kilkanaście godzin czekać na przesiadkę i ja mówię: „Wiesz co chodźmy odwiedzić Pardusa.” Poszliśmy do takiego policjanta i pytamy gdzie jest komisariat, że komendantem jest Pardus. A on mówi, że to jego komendant. „No to powiedz pan gdzie mieszka, bo my jesteśmy jego kolegami jeszcze z lasu i chcieliśmy go odwiedzić.” Poszliśmy do niego na ulicę Piotrkowską. W domu jest jego żona, która była siostrą Jaśka Naklickiego „Dyplomaty”. I tam taki pies, wilczur leży na otomanie. No wtedy

oczywiście popiliśmy, jak trzeba było, ile było trzeba. Pardus taki był, że lubił się pochwalić. Zadzwonił i natychmiast milicjant przyleciał, a on mówi do niego: „*Słuchaj, to są moi koledzy, moi partyzanci i o tej, i o tej godzinie proszę przyjechać i odwiedzić ich do pociągu.*” No i tak było. Przyjechał samochód, zabrał nas, zawiózł na dworzec i pojechaliśmy dalej. Pardus jak wstępował do milicji to powiedział, że był w BCh i to była prawda. W lesie, jak był tym szefem, wziął przepustkę od Edwarda Błaszczaka „Groma”, bo on chciał jechać do Hoszni Ordynackiej, tu za Frampol, żonę odwiedzić. Tam z nią była też Miączowa i Łusiakowa, no i on chciał tam pojechać. No to jedź. Dla obrony wziął rkm zdobyty od Niemców wtedy, gdy Hieronim Miąc „Korsarz” zginął. Myśmy wówczas zdobyli jeden polski rkm, ale produkcji już niemieckiej. W Radomiu Niemcy nadal robili broń. Visy też robili, tylko oksyda była taka już lipna. Jak wziąłeś w rękę takiego Visa, bo myśmy zdobyli później takiego Visa razem z tym Pardusem to jakościowo było widać, że to jest lipa. A ten przedwrześniowy to był mocny, dobry. Pardus pojechał we wrześniu żonę odwiedzić, wziął ten zdobyty rkm, bo nowy, dobry to pewnie będzie miał strzały i przyjechał bez erkaemu. Powiedział, że napotkali go tam Ruskie i mu zabrali. Tymczasem potem myśmy się dowiedzieli, za jakiś tydzień czy dwa, że on sprzedał rkm naszym chłopakom za trzynaście tysięcy złotych. Nawet dowiedzieliśmy się ile wziął. Za to, że on ten rkm przehandlował, to nastąpiła kłótnia między nim a „Gromem”. No i zwolniło się go z lasu, z szefa, że takiego żołnierza nie potrzebujemy. Wtedy on założył w Józefowie BCh i znalazł sobie ze trzech, czterech kumpli i dlatego wstąpił do milicji jako bechowiec. Wtedy, jak Miąc zginął, to Niemcy przyszli prawie aż do obozu, na odległość 200 metrów dosłownie. Przyszedłem w nocy, tak gdzieś o dwunastej czy o pierwszej, bo przecież trzeba było panienkę zobaczyć na niedzielę i w nocy poszedłem na placówkę. Przychodzę nie ma wojska. Gdzie są? Pojechali na Majdan Sopocki, a tu tylko sam kucharz, obsługa i Józef Gniewkowski „Orsza” między nimi, ale śpi. To i ja też się położyłem spać. Dobrze jeszcze dwie, trzy godziny pospać. Naraz alarm, a oni tzn. wojsko wrócili z Majdanu Sopockiego i też położyli się spać.

Przedtem „Grom” patrole powysyłał, żeby ktoś nas nie napadł. Czuł, dosłownie czuł. I tak było, że w różne strony wysłał tam po erkaemie, na stronę od Osuch, czy od Józefowa. Naraz słyszymy strzały i to strzały z erkaemu. Było umówione, że jak z erkaemu to znaczy, że strzał do munduru tj. granatowych, czy Niemców, a do cywila to pojedyncze strzały. Najpierw były jeden, dwa pojedyncze, a potem rkm. A myśmy już na tyle znali, że nawet wiedzieliśmy kto strzela, czy rkm, bo szybkość amunicji była inna. Jedna sprężyna była słabsza to dawała wolniejsze serie, a inna szybsze, że tylko jak pepeszki „prrryt” a nasze „papaja” wolniej. Już widzimy, że alarm i wszystko wojsko do walki, bo Niemcy zbliżają się do oddziału. Razem skoczyliśmy tyralierą do walki i ułożyliśmy jak popadło: Jasiak Hajduk, ja, Pardus, bo to było nim odszedł z tym erkaemem. Za Pardusem „Grom”, a z lewej strony Miąc, który się wychylił naprzód na taki pagórek. Miąc był z niemieckim automatem i strzelał do Niemców. My zostaliśmy w tyle tzn. myśmy tego nie wiedzieli. Front się posunął do przodu, a myśmy zostali w tyle, bo przed nami Niemcy leżą. Hełmy tylko widać w jagodniku i stajemy, bo przed nami w odległości dwudziestu pięciu metrów Niemcy leżą i widzimy hełmy, ale tylko ja, Hajduk i ten Pardus. Pardus jako dowódca mówi: „*Strzelić każdy do jednego i skok zrobić natychmiast*”. Strzał i skok do przodu. To my strzeliliśmy, a odwagi brak i ja nie skoczyłem i Hajduk nie skoczył i Pardus nie skoczył. Mówi: „*Jeszcze raz ale teraz szybciej*”. Wtedy strzał i już jesteśmy przy nich. Ja jednego, a Hajduk drugiego dobiliśmy, a Pardus do przodu. W tym czasie straszny jazgot, walka trwa. Pardus krzyczy, żeby wziąć tzw. języka, to może powiedzą nam gdzie i co. To my strzał, jeden, drugi a wtedy Pardus mówi: „*Zastrzelić, bo trzeba iść naprzód, bo tam się biją, trzeba pomóc*”. Wtedy jeszcze raz ja jednego on drugiego i naprzód, Pardus „Grom” i cała prawa strona poszła. Przychodzimy może dwadzieścia kroków, a na górze strzela z tego peemu Miąc. Tak troszeczkę na takim małym wzniesieniu, ale walczy jak szatan. Nagle Miąc fik, przewraca się bo został ranny. Pardus znów wyznacza mnie i tego Hajduka, aby zaopiekować się rannym, a sam idzie naprzód z „Gromem” i ze wszystkimi, cała tyraliera. Poleciliśmy

do Miąca, bierzemy pod pachy i cofamy się do tyłu. Jeszcze szybciej to robimy, bo człowiek młody to jeszcze by chciał żyć. Jak odprowadzi się rannego to już będzie się w tyle. Wreszcie koniec walki. Niemców nie ma, już strzały i wszystko umilkło. Niedaleko trzech Niemców leżało zabitych i przy tych Niemcach „Grom” robi zbiórkę. W rękę trzyma granat, ale już zawleczkę wyrzucił i jeszcze łyżkę trzyma, a tu przed nim chłopaki, rząd ze trzydziestu ludzi. Mówi, mówi, troszkę się zapluł, dziękuje za naszą walkę. W tym czasie strzał obok nas, to wszyscy biegniemy. Już nie słuchamy „Groma”, co on tam gada, tylko lecimy tam, gdzie strzał padł. Okazało się, że to Niemiec usłyszał nasz głos i dał strzał, że on jest tam ranny. On myślał, że to Niemcy rozmawiają i chciał żeby się nim zaopiekowali. Przychodzimy do tego Niemca, a jeden po niemiecku umiał i od razu pyta skąd przyjechali, ilu ich było itd. Odpowiedział, że przyjechali z Tomaszowa, że była granatowa policja, Turkiestany i Niemcy i że było ich tak coś do pięćdziesięciu ludzi. Jak on oddał strzał i pistolet odrzucił na bok, to Janek Hajduk zaraz tego Visa złapał. Ten Niemiec był dowódcą drużyny Turkiestanów. Ściągamy tych zabitych, naściągaliśmy dziewięciu. Myśmy polecieć po swoich, bo wiemy gdzie leżą, w odległości najwyżej pięćdziesięciu kroków od tego miejsca zbiórki. Dziewięciu Niemców naściągaliśmy jak wieprzaków m.in. tego, który miał ten rkm. Jeden w randze oficera był dowódcą tej całej grupy operacyjnej i on też zginął. Potem mieliśmy dokładną rozmowę jak tam było w Tomaszowie itd. Już nie pamiętam dokładnie, jak to wszystko było, ale nawet ten Niemiec, co dał strzał powiedział, że kłótnia była w Tomaszowie między dwoma oficerami, tylko innej formacji. Jeden był za tym, że partyzanci, czyli bandyci są w lesie, a drugi mówił, że bandyci są we wsi, w domu, że w nocy idą robić robotę a potem w dzień są w domu. Drugi mówi, że nieprawda, bo w są lesie i śpią w lesie. Ten co zginął udowodnił, że w lesie, ale sam zginął i tak to się skończyło, że dziewięciu Niemców zabiliśmy. Miąc był ranny i leżał na furmance dwa dni, zanim Tadeusz Nowak „Butrym” pojechał furmanką do Biłgoraja po instrumenty chirurgiczne. Tam miał trudności z dojściem do szpitala. W każdym razie jakoś

dostał te instrumenty i przywiózł, ale to trwało dzień czasu. Tu w lesie lekarzy mieliśmy już swoich, jeden z Warszawy chirurg Jacek Zakrzewski „Glass” i on robił tę operację. Biskup był w tym czasie ranny, bo on w czerwcu został ranny i był w Biłgoraju w szpitalu razem z Kolaszyńskim. Tylko Biskup został ranny koło Panasówki, a Kolaszyński o dwa miesiące wcześniej i obydwaj byli w szpitalu w Biłgoraju u Pojaska. U Miąca wdała się gangrena. Na postrzelonej ręce pęcherzyki były takie, jak się sparzy parą. Najpierw ucinali niżej, ale nos tam wsunął i mówi, że musimy się posunąć wyżej. Wiem dokładnie jak było, bo muchy opędzałem, jak to w lesie i stałem przy operacji. Nie tylko ja, ale ze czterech takich chłopaków nas tam było. Do oganiania much to najmłodszych biorą. Przecież nie będzie erkaemista much oganiał, tylko ci najmłodsi z ludzi. Posuwają się dalej, już zrobili, ale końcu zapada decyzja i w ramieniu rękę odjęli. Chłopaki już rękę zakopali, a w tym czasie sytuacja Miąca się pogorszyła. Poczuli, że coś jest źle i denerwują się. Raz, dwa, trzy liczą żebra bo mówią, że zastrzyk trzeba dać bezpośrednio w serce. Oni trochę używają łaciny, to nie wszystko człowiek rozumie. W każdym razie zrozumiałem, że bezpośrednio do serca zastrzyk ma być. Robią jeden, drugi ale koniec, zmarł. Wtedy rękę odkopuj, bo żeby potem położyć razem. Niech będzie z dwiema rękami w całości. Mówią, że te kule były jak to nazywali dum dum, czy coś takiego. Jak by był ratunek od razu, to by przeżył a tu posuwa się, krew się psuje. Miąc w tym czasie był dowódcą. Już był „Grom” ale dowodził Miąc. „Grom” też był ranny, ale kula nie wyszła. W płuco dostał i nie wyszła i do dzisiaj. Lekarze cały czas uznawali, że lepiej nie ruszać. Jest tam kawałeczek metalu w płucach, to niech sobie będzie.

Ja byłem u „Wira” na szkole. Poszedłem z oddziału „Groma”. W 1943 roku na 11 listopada, w nasze narodowe święto, kto miał możliwość na zimę pójść do domu, czyli chłopaki z Józefowa, to poszedł. Poszliśmy wszyscy do domu i mieliśmy możliwość w domu spać i mieszkać itd., a kontakty z lasem, z „Gromem” były zachowane. U „Groma” był np. Jan Buczek „Dąbek”, Janek Matysiak „Kasia” i Józef Osuch „Wesoły”. Osuch i Buczek to są koledzy z jednej wioski

i oni byli w oddziale „Groma”, i w zimie też byli w lesie. Jak oddział liczył ze stu ludzi, to tylko maksimum dwadzieścia na zimę zostało w lesie. Było im ciepło, bo zrobili ten baraczek, piecyk postawili. Postawili go na Malcach tam, gdzie jest teraz obelisk. Na Malcach w okupację była szkoła podoficerska w zakresie Inspektoratu Zamojskiego. Chłopaki „Podkowy” tam wtedy byli. Oni tam właśnie kwaterowali i tam była szkoła, o której w tym czasie mało kto wiedział nawet. „Grom” w zimie stał na Malcach, tam miał swoją bazę. Było z nim ze dwudziestu ludzi. Myśmy jeździli np. na Wigilię, wypić kieliszka i opłatkiem się podzielić. Tylko tak w odwiedziny się jeździło, a walczyć z Niemcami na akcję, to nas wołali. Pojechaliśmy raz, drugi raz. Raz na czarnych na Suchowółę. W grudniu w 1943 roku i w styczniu 1944 roku. W grudniu przed świętami, to gdzieś tak piętnastego mniej więcej i dziewiętnastego stycznia, bo dziewiętnastego jest Henryka i dlatego pamiętam. Chcieliśmy Henryka uczcić, ale trzeba alkoholu. Z Suchowoli zabraliśmy dwie fury alkoholu monopolowego, nie bimbru. To był przysmak. Tylko jak zrobić, żeby zakosić z furmanki oddziałowej. Wracamy z akcji i jesteście niedaleko Józefowa, już tutaj koło Borowiny. Jak stanęliśmy na postój, tak Józefów odłączył się i oddział pojechał sobie z całym tym dobytkiem do lasu, a my tylko za dziękuję, do widzenia i do Józefowa. Zbliżało się Henryka i jutro miały być imieniny, to trzeba było zakosić wódki. Jak pójde poprosić, no to mi tam z litra da, ale co mi litra rozwiąże. Dla chłopaków trzeba trzy, cztery. Śnieg był wtedy po kolana, albo jeszcze i dalej. Myśmy z furmanki, żeby nie robić śladów, rzucali wódkę po butelce w las, a to w litrach była wódka przeważnie. Litra wódki w las rzuciło się i ona pacnęła. Zbije się to trudno, a będzie cała to rano sobie przyjedziemy. Rano wzięliśmy konia i pojechaliśmy zbierać te litrówki. Z pięć znaleźliśmy. Dziubnęła w śnieg i jest cała, i żadna się nie zbiła. Zawołaliśmy nasze dziewczyny i u Stefana Horodelskiego „Esa” w mieszkaniu zrobiliśmy imprezę. On miał żonę, ale jeszcze wtedy nie była żoną tylko panienką. On po ucieczce z Zamościa u nich się ukrywał. Ich było dwie i matka trzecia, a ojciec

zginął w Katyniu. Nazywał się Rogala. Zrobiliśmy tam imieniny, bo Horodelskiego przysłała szwagierka też miała na imię Henryka i była działaczką taką na 102 w oddziale. Druga siostra wyszła potem za mąż za Horodelskiego. Horodelskiego zabiła bezpieka, a to było tak. Brat rodzony Antoniego Radzika „Orkisz” mieszkał w Józefowie. Ożenił się z Hajdukówną, z ciotką Stacha i Jaśka Hajduków i Antek przejeżdżał do starszego brata do Józefowa i znaliśmy „Orkisz” jako Radzik Antek. Umówili się u tego brata Radzika odprawę robić. Horodelski miał tam być jako szef józefowskiego Win-u. Wtedy przyjechał ten Antek z Biłgoraja no i ten nasz józefowski Radzik. To było w domu u Hajduków. Stanisław Hajduk powiedział do Makucha, że tam są Wirowcy i ubecy tam polecili. Horodelski mieszkał naprzeciw. Jak ktoś idzie, to on ucieka. Nie wiem, czy „Orkisz” złapali, czy się schował. Już nie pamiętam. Jak Horodelski zaczął uciekać, to część żołnierzy UB pojechało za nim, a ci w tym czasie się schowali albo rozeszli. Tam miał być jeszcze ktoś. Może Iwanowski, czy jeszcze ktoś, ale ktoś musiał być. W każdym razie mieli odprawę

Horodelski uciekał na kamieniołomy, tam gdzie jest kirkut żydowski, a żona jak raz poszła tam wcześniej, bo tam ogródek miała na polu i on tamtędy uciekał. Jak został ranny to krzyczał „*Niuńciu*”, bo ona była Izabela, ale tak ją wołali. „*Niuńciu zabili mnie*” jeszcze zdążył powiedzieć i dosłownie zaraz zmarł.

Ale skończę jeszcze z tym Radzikiem. Po wyzwoleniu brat „Orkisz”, Józef ten co w Józefowie mieszkał, czyli szwagier Hajduka, wyjechał na zachód. W ogóle dużo ludzi z Józefowa wyjechało za chlebem, a inni jeszcze się ukrywali jako akowcy. W każdym razie, tam moja siostra ze szwagrem zajęli zakład masarski i objęli sklep. Świnie bili, wyroby robili i tam mieszkali w Karlinie. To było sześć kilometrów od Białogardu. Ja tam też pół roku byłem u siostry bo pomagałem jej prowadzić ten interes ponieważ w tym czasie szwagier był aresztowany. W Karlinie było z dziesięć rodzin z Józefowa. Mieszkały tam rodziny Krzaczków, Hajduków, Radzików. Mieszkał tam też Łusiak, policjant granatowy, którego aresztowaliśmy jeszcze za okupacji. Część naszych ludzi tj. oficerowie i wojsko było za tym żeby go zabić, a część żeby nie

zabijać, bo on w tym czasie jak „Wira” odbijali dał znać do swojej późniejszej żony, czyli do narzeczonej, że będzie w nocy larum a ona uprzedziła Kolaszyńskiego. Tak, że miał plusy i minusy. Łusiak pochodził z tamtych stron od Poznania i dlatego znał język niemiecki. On tam pojechał do swojej rodziny, bo tutaj miał wyrok za współpracę z Niemcami. Dostał pięć lat więzienia, ale to potem sprawa była. W każdym razie miał za sobą wyrok, ale jeszcze nie siedział, na wolnej stopie był. Mieszkał w Karlinie Krzaczek, który był krawcem i robił czapki. On był stryjecznym bratem Stefana Krzaczką „Grudy”, żołnierza „Podkowy”, który u nas tę stację kolejową Krasnobród rozbił w grudniu 1942 roku. Krzaczek, Józef Radzik, brat Antka i Łusiak spotkali się i zatrzymali u brata Krzaczką i kolację robili. Jak raz, Janek Hajduk co był w Białogardzie w milicji, dostał przepustkę i pojechał do Karlina zobaczyć józefowskich ludzi. Nikt tam nie miał mu za złe, że poszedł do milicji. Poszedł sobie, to poszedł. Ojciec Jaśka i Stacha Hajduków ożenił się z Hajdukówną, ze swoją siostrą stryjeczną, czyli był też kuzynem Radzika. Zaczęli pić wódkę u tego drugiego Krzaczką i tam w czasie tej kolacji, czy libacji, nie wiem jak tam było, w każdym razie, że przy stole, on sobie wypił wódki, a był wariat od urodzenia. Jak sobie razem z nimi wypił wódki, to wtedy powiedział, że wie kto wy jesteście, że wy ukrywacie się, a ja jestem w milicji i ja was cholera jutro przeskarzę. Jak ty masz jutro nas przeskarzyć, to my cię lepiej dzisiaj zrobimy i zabili go, normalnie zabili. Jedni mówią, że butelką z wina, drudzy, że pistolet któryś miał. W każdym razie zabili i schowali ciało. Dwa lata UB szukało milicjanta i nie mogli znaleźć. Doszli potem do tego, że tam była kolacja, że się kłócili i tam go zabili. Zaaresztowali tego gospodarza domu, młodszego Krzaczką i on wskazał miejsce w ogrodzie gdzie zakopany był Janek. Wykopali te kości po dwóch latach, matkę przywieźli i tu go pochowali, a tych panów zaaresztowali wszystkich trzech i dostali po dziesięć lat więzienia. Z tym, że Łusiak miał już pięć za współpracę, czyli dostał piętnaście. Łusiak potem był aresztowany i siedział, a tamci też siedzieli we Wronkach. Nasi panowie, akowcy z Warszawy tak się starali żeby wyrwać Krzaczką i Radzika, bo na Łusiaku im nie zależało, tylko na

tych dwóch, bo to byli oficerowie Armii Krajowej. Jak mieli dziesięć lat, to z rok czy dwa siedzieli, już nie pamiętam, w każdym razie niedługo. Apelowali od wyroku i sąd uniewinnił ich, że oni jako działacze polityczni itd. Nie będę już mówił jak to wyszło, ale ich zwolnili, a Łusiak został tylko na te pięć lat za współpracę z Niemcami. Potem i Łusiak wyszedł z więzienia, bo lepsze sprawowanie było. Z pięciu, to tylko ze dwa lata siedział bo miał znajomości. Stach Hajduk zawinił w związku z Krychem. Makuch, jak przyjechał do Józefowa z tą grupą operacyjną do gminy w jakiejś tam sprawie, nie wiadomo jakiej, to zatrzymali się przed gminą i od gminy pojechali na Majdan i zabili Krycha. Według pogłosek prawdopodobnie tak było, bo ja byłem wtedy w Kraśniku. Byłem z nimi tam w Majdanie razem ale wyjechałem do Kraśnika i powiedziałem, że jadę do wojska, że tu się boję być. WKR było w Kraśniku, ale ja tam nie pojechałem do wojska, tylko miałem tam chrzestnego, wujka i tam u niego siedziałem z pięć miesięcy. W tym czasie Hajduk w nocy pracował z „Wirem” a w dzień z UB i on oskarżył do UB nauczyciela ze Szczeczeszyna, Stefana Poździka „Wrzosa”, który był zastępcą „Wira” w WiN. „Wir” był jeszcze wtedy w lesie koło Józefowa. Natomiast Poździk ukrywał się w Józefowie u swasi Witkowskiego tylko, że ona panienką jeszcze była. „Wrzos” został aresztowany w Józefowie przez UB w następujących okolicznościach. Mój brat przyjechał z Niemiec, bo był w 1943 roku wywieziony do Niemiec. Wrócił do Józefowa w 1947 roku, aż ich tam Amerykanie odbili. Miał tam dziewczynę, dobrze mu było to nie spieszył się i przyjechał aż w 1947 roku do Polski. On był kolegą tego Hajduka Stanisława, taki bliski, serdeczny kolega a jednocześnie daleki kuzyn. Nasze babki były siostrami. Hajduk spotkał tego mojego brata, który przyjechał z Niemiec i mówi: *„Zygmunt wstąp do Basi i powiedz tak, Pani Basiu niech „Wrzos” ucieka bo będzie aresztowany”*. Brat nic nie wiedział, kto to był „Wrzos”, bo dopiero dwa tygodnie temu przyjechał z Niemiec. Wpadł i powiedział: *„Niech „Wrzos” ucieka bo będzie aresztowany”* i wyszedł. Za chwilę oficer UB z Biłgoraja wpada i zaaresztował „Wrzosa”, zawiózł go do Biłgoraja i tam siedział na UB. Dlatego wiemy, że Hajduk współpracował. Tak

samo było i z Krychem Hercem „Helem”. Makuch zajechał pod gminę. W Józefowie był przez większość poważany. Ludzi uważali go za chłopaka z Łukowej, dobrego Polaka, bo on przecież był oficerem na statku. Zbieg okoliczności, że się widzieli z nim, tam pod gminą i Hajduk i Edmund Maśko „Jastrząb”, Krycha brat cioteczny. Maśki nie podejrzewamy żeby on powiedział na brata swojego, że tam Krych jest. Tego nie można potwierdzić w żadnym wypadku, a że Hajduk wysłał informację do tego „Wrzosa” to jest fakt. Skąd Hajduk wiedział, że będzie „Wrzos” aresztowany i dlaczego sam nie poszedł powiedzieć do tej Baśki, tylko wysłał mojego brata, który nie był świadomy żadnej organizacji. Nawet nie wiedział kto to jest „Wrzos”. Jak ja byłem w Kraśniku, to w tym czasie „Wrzos” z ludźmi „Wira” zrobił napad na posterunek w Józefowie, który zakończył się tym, że zastępca „Wrzosa” Jan Źmuda z Górnik został ranny i zmarł. Jak on został ranny to chłopaki „Wira” wpadli do mojego domu, do rodziców, ale nie od podwórza tylko od ulicy, od frontu. Chłopaki poszli do naszego domu, bo dom stał na uboczu, jak do nadleśnictwa się idzie i weszli z frontu. Okno wybili, weszli do pokoju i z szafy wzięli ubranie. Zabrali długie futro mojego ojca, garnitur i poduszkę, trzy rzeczy. Ojciec miał pretensje dlaczego to ojcu zabrali, skoro syn partyzant, a że jest w Kraśniku, to jest. W każdym razie doszliśmy do tego, że jak Źmuda został ranny przy posterunku, to chłopaki zabrali poduszkę po to, żeby go położyć na furmance a jak to chłopaki zobaczyli, że futro wisi, to czego mają nie wziąć. Dowiedzieliśmy się przez Stacha Hajduka tego, który miał kontakt z UB, tylko wtedy tego nie wiedzieliśmy, że w naszym futrze wartownicy wartują w lesie u „Wira” i że zniszczą. Myśmy prosili Stacha żeby koniecznie odebrać to futro. Futro zostało zwrócone, ale aż po napadzie na UB, co ja brałem udział, bo już przyjechałem z Kraśnika na Wielkanoc. To było w maju. W nocy poszedłem do „Wira” żeby odebrać to futro. Ale ja nie byłem na placówce, tylko na drodze koło leśniczówki, którą oni mieli iść. Hajduk powiedział: *„Idź dzisiaj tam na gajówkę, tam będzie szedł „Wir” to załatwisz sobie sprawę futra”*. Poszedłem tam i tak trafiłem na akcję. Wojska już było z pięćdziesiąt ludzi, to gdzie

ja będę teraz o futrze gadał, zostałem. Na UB byłem nie z karabinem, tylko z Visem, bo ja nie poszedłem do walki tylko żeby się z „Wirem” zobaczyć.

Po wojnie Hajduk miał sklep i ci ubowcy przychodzili do niego w wolnym czasie, wypili tam po kieliszku. Ja sam ich spotykałem. Poszedłem niby to do Stacha, ale chciałem zobaczyć tych ubowców. Naraz coś się stało, Hajduk zachorował i to nagle. Matka wzięła go na furmankę i zawiozła do szpitala, do Szczebrzeszyna i w szpitalu zmarł. Chłopak zdrowy, ożenił się rok temu, sklep miał. Nagle Hajduk zachorował, za dwa dni Hajduk zmarł w szpitalu. Matka, wioząc go do szpitala, spotkała na górcie koło leśniczówki na Krugliku za Krasnobrodem „Dyplomację”, który woził piwo z browaru ze Zwierzyńca i mówi: „*Panie Naklicki zobacz pan Stach umiera*”. On patrzy, a tu piany ma pełno z buzi. W szpitalu stwierdzili, że został struty i do dzisiaj nie wiemy czy my, czy oni. Kto go struł? Czy „Wira” ludzie, czy UB. Według mnie i to możliwe, i to możliwe. Ubowcy mogli struć za to, że chodzi w nocy do „Wira” i gada z nim o UB, a w poniedziałek, w dzień z ubowcami wódkę pije i gada co u „Wira” słyhać. Lutek Hajduk „Ogień”, brat stryjeczny Stacha i Janka był aresztowany u mnie w domu, jako u kuzyna. Bał się UB, to u mnie spał parę razy i w tym czasie jak u mnie spał, to przyszła milicja i go zaaresztowała. Siedział na UB w Biłgoraju i uciekł. Ukrywał się w Majdanie Nepryskim u jednego gospodarza. We czterech się tam ukrywaliśmy: Krych, ja, Stanisław Paniak i Lutek Hajduk. Krych i Paniak przyszli odwiedzić Lutka, bo on był chory, odmroził nogi w UB. Ja w końcu zrezygnowałem z tego ukrywania i wyjechałem do Kraśnika. Zostało ich trzech. Potem przybył jeszcze Terlecki, który w okupację siedział w więzieniu w Zamościu i został zwolniony przez front, ale już kończył wyrok. On jak wyszedł z więzienia, to taki temperament miał, że zaczął bawić się w akowca, bo przy tym mógł też coś zarobić. Jak się ma pistolet, to coś się ukradnie, coś się trochę robi dobrze. Tak, że oni razem się ukrywali. A co Krych zrobił źle? Na trzy tygodnie przed śmiercią Krycha, albo dwa, nie wiem dokładnie, gdyż byłem już w Kraśniku, milicjant z Józefowa szedł

przez Majdan chodnikiem. Krych i ten Terlecki byli w mieszkaniu przy drodze. Wpadła jakaś starsza baba do nich, bo wiedziała, że tam jest Krych i Terlecki i powiedziała, że chodnikiem idzie milicjant. Oni wyskoczyli z domu i pach! Zabili milicjanta. Za dwa tygodnie przyjechał Makuch i zabił Krycha. Po takim wypadku trzeba było uciekać i wyjeżdżać do Hrubieszowa i to za blisko, a nie siedzieć w Majdanie. UB wzmocniło czujność, szukali kto zabił milicjanta i doszli, że to oni. Tutaj był błąd Krycha, że siedział w Majdanie. Terlecki wtedy uciekł. Krych uciekał na północ, a Terlecki odszedł na południe i za nim ubecy nie pobiegli, gdyż nie widzieli, że on ucieka, a za Krychem polecili. Terlecki uciekł, Krycha zabili a Paniaka i Lutka na samochód zabrali i znowu do UB się dostał. Michał Dmitroca, zastępca Dechnika, zanim został sekretarzem, to był w UB, jako żołnierz Makucha. Na jakimś spotkaniu w Biłgoraju, chwalił się przy kieliszku, że on brał udział w zabiciu Herca w Majdanie. To znam z relacji innych.

(opr. M. Działo)



Na fotografii od lewej Józefat Źmuda „Czarny”, Krystian Herc „Hel”, Józef Turczyniak „Spadochron”, Lucjan Hajduk „Ogień”, Adam Czapka „Cegła”, Czesław Krzemiądek, Jan Naklicki „Dyplomata”.



Jan Naklicki „Dyplomata”.



Obóz zimowy „Groma”.



Żołnierze z oddziału „Groma” 1943r.



Na fotografii od lewej Feliks Pardus „Piast” z Józefowa, porucznik Włodzimierz Hascewicz „War”, kierownik szkoły z Aleksandrowa, trzeci NN, Makiełło „Sosna”, Edward Błaszczak „Grom”, serżant Murw.



Obóz zimowy pod Osuchami.
Na fotografii od lewej st. sierżant Jan Matysiak „Kasia”, Józef Strzałka „Zagłoba”, NN.

Spis treści

Maria Działo

**Kawalerzyści 5 Pułku Strzelców Konnych
walczyli pod Osuchami 3**

Maria Działo

Smutna historia jednego zdjęcia 9

Roman Kiciński „Orkan”

Mijają lata – pozostają wspomnienia 23

Henryk Nowicki „Orzeł”

**Niedokończona relacja – wspomnienia żołnierza
z oddziału Edwarda Błaszczaka „Groma” 45**